

Debora Vogel
akacje kwitną




AUSTERIA

Debora Vogel

Akacje kwitną

montaże

Ilustracje Henryka Strenga

Posłowie:
Karolina Szymaniak

Wydawnictwo „Austeria”

Kraków 2006



Debora Vogel, zaginiony pastel St. I. Witkiewicza,
1929 lub 1930 r.

Kwiaciarnie z azaliami
1933

Ulice i niebo

Tego dnia odbijały ulice niebo. A niebo było szare i ciepłe. Zawsze, kiedy niebo jest szare, są ulice zmęczone i słodkie, jak morza szare i ciepłe.

Tego dnia wszyscy, którzy znaleźli się w ulicach – ginęli po prostu za nieoczekiwanym jakimś spotkaniem. Jak już raz dawniej.

Pod koniec zaś opadła ludzi tęsknota nieporadna i niepojęta do powieści długiej i szczegółowej, z dokładnym opisem losów bohatera, niech będzie nawet staromodnej.

Powieść taka miała koniecznie zacząć się od słów „...tego dnia...”, „...w szary dzień z ulicami, jak szare słodkie morza...”

(następuje data kalendarzowa...)

szedł ulicą L. pan w jasnym palcie i czarnym meloniku i robił obrachunek z dotychczasowym swym życiem...”

W takim stylu utrzymana miała być ta powieść i taką mniej więcej treścią miało zacząć się wszystko

w romansie, za którym zatęskniło się teraz nagle i nieodwołalnie.

O to szło właśnie: jaki przebieg może przybrać życie, co może zdarzyć się przez całe zwykłe życie i jak stają się te losy ludzkie z niczego: z powietrza błękitnego, z rzeczy dotykanych i lepkiej nudy, z jednego spotkania banalnego?

I jak dotąd niezatwiona, chociaż tyle już lat się przeżyło, sprawa, zaczęło dokuczać dawne bardzo pytanie: jak żyć? Było przy tym znowu tak banalne, jak wtedy i tak nieliczące się ze swą banalnością, jak wtedy, po raz pierwszy.

W szarych, jak morze ulicach rozpoczął się tymczasem faktycznie, niezauważony jeszcze przez wielu, nowy romans zwykłego życia.

Ulice z tego romansu pachniały elastycznością, szkłem i chodzeniem.

Pachniały czymś niezwykłym jeszcze: twardością i okrągłością przedmiotów.

W tych ulicach twardniała przestrzeń, jak masa lepka i rozwiązała, w rzeczy dziwnego gatunku: w różnego rodzaju okrągłości i płaskości, białe i szare przeważnie.

Plachty białej, pełnej, przestrzeni przychodzą w tej powieści i traktowane są jak zdarzenia; mury występują w tej powieści: gęste, jak tęsknota i jak upał. Mury: bielsze jeszcze niż w rzeczywistości, w dni, ulepione z szarego nieba i czekania, melancholijnie białe, lub twardo białe.

I rzeczy są tu takie, jak płaszczyzny kuliste, kwadratowe, prostokątne. (W zwyczajnej nomenklaturze są to: suknie, meble, asfalty i ludzie).

Ludzie zaś z tej powieści – żyją rzeczami takimi, jak: płaskość i kulistość, biała, szara, kolorowana; czekają na nie: jak na przygodę jedyną.

I tak zaczynał się mniej więcej pierwszy rozdział tego romansu:

„W szarym niebie stały mury, białe jak atlas. Stały mury, z wyglądu jak lakier i jak papier. Ulicami szli ludzie: postacie, wyjęte i dobrane z romansu, nazywanego życiem”.

Pył uliczny

W tym właśnie czasie – był kwiecień, pierwszy miesiąc lepkich liści i południe – zdarzyła się rzecz następująca: przy krawędzi białego trotuaru zawirowała garstka płowego pyłu i rozsypała się w bladym jeszcze powietrzu, całkiem nisko, pół metra może powyżej asfaltu chodnika.

To zaś nic nie mówiące zajście sprzed roku i sprzed lat dwu zdawało się stwierdzać, że wszystko wróciło na swe zwykle miejsce i że potoczy się dalej w oznaczonej kolejności, i wedle stałej reguły.

I zapewne dlatego nabrało to zajście naraz takiej ważności dla ludzi i dlatego wywoływało czułość, ponieważ w ludziach były sprawy niepowrotne.

To samo zajście stało się punktem wyjścia całej serii dziwnych wydarzeń, gdzie wszystko miało przebieg całkiem odmienny od zwykłego toku spraw i coś innego było ważne, niż zwykle.

To zaczęła się doroczna seria wydarzeń banalnych takich, jak: lepkie upały lakierowe i chodzenie ulica-

mi; kobałtowe „ogrody wieczornych ulic” i tęsknota za szorstkimi rzeczami; rzeczy: różne rzeczy, okrągłe, prostokątne, kwadratowe; rzeczy twarde, lepkie, elastyczne i spotkania banalne: spotkania, do metali pachnących podobne.

W końcu: sprawa ze „szczęściem przegranym” – tak właśnie nazywano tę rzecz, znaną i już zwykłą w kronikach życia. Każdy rok życia ma jakiś plan szczęścia i jakąś sprawę przegraną.

Od płowej grudki prochu zaleciało zapachem upałów i nieznanymi możliwościami.

I nie było już więcej czasu do stracenia.

Domy z rytmem

Hałas i twardy ruch rzeczy jeszcze niegotowych i nieużytych mogą dostatecznie zadokumentować, że życie jest pełne sensu i potrzebne i że nie ma czasu do stracenia.

Tak wypada zatem, że w szarych i nijakich przeszerzeniach fabryk sukna i szkła, papieru i wyrobów metalowych, że wszędzie tam produkuje się ciepłą i elastyczną materię samego życia i że słodycz, wyciekająca kroplami z duszy człowieka już od godziny siódmej szarego ranka (nazywana potocznie energią), jest jak maszyna doskonała, która przerabia lepką nudę i powolność świata na twardość i na zdarzenia.

Od pewnego czasu nastawała w coraz innej fabryce biała cisza. Z początku – bryła ciężka i lepka, była potem, po upływie pewnego czasu, jak smutna i nieporadna masa papierowa.

Tej wiosny, roku 1933, stanęło znowu kilkanaście fabryk w mieście. W ulicach zaś widać było ludzi,

którzy mieli za dużo czasu i zapomnieli już, jak wygląda przygoda ze zmęczeniem.

Na ulicznych ławkach siedzieli, w rozkwitające już lepko południa; na ławkach wielkich bulwarów siedzieli już o bladej godzinie siódmej, w poranki jeszcze wilgotne; potem: w wieczory granatowe i całe w rzekach elektryczności: ponad nimi – triumfalna reklama „Forda” i pasty do zębów „Odol”.

Przed szybami wielkich magazynów przystawali: przed konfekcją damską, o ślicznie brzmiących, wytworną swą linią pociągających nazwach „Jean Pautou” i „Molyneux”; przed rzędami krawatów – najwytworniejsze krawaty – marki „Rekord”.

Z początku nogi nie chciały iść, ale potem już szły bez przerwy.

Na ulicznych ławkach siedzieli ludzie i patrzyli w dół, na szary beton trotuarów; na ławkach siedzieli ludzie, którzy nie czuli zmęczenia i nie widzieli drzew, pękających liśćmi małymi i lepkiemi.

Po fabrykach zaś stały maszyny nieruchome; smutne, jak nudni ludzie i jak wyroby papierowe. I naraz płaskie i bez wyrazu: tęsknoty nieokreślone; ludzie, którzy nie mają dokąd pójść już od godziny siódmej rano.

Tak przechodzi pierwszy miesiąc lepkich pąków i niebieskiej, lekkiej, jakby nieobowiązującej do niego atmosfery.

Wiosna i kartony od kapeluszy

Tymczasem w poranki falowała wiosna płachtami soczystej zieleni, pociętej – przy bliższym wglądnięciu – na palczaste liście kasztanów i liście bzu, bezpretensjonalne „podobne do serc ludzkich”.

Morze zieleni falowało wtedy przed szybami domów i tramwajów; wzbierało ku południowi jak morze szarych wód, aby przycichnąć z nastaniem popołudnia, a pod wieczór stwardnieć prawie w bryłę zieleni.

Tak przeszedł drugi miesiąc lepkich pąków i błękitnego powietrza.

Wtedy postanowiono – chociaż w gruncie rzeczy i teraz jak zawsze – nie było po co i dla kogo – postanowiono „żyć” i wszyscy rozumieli to słowo: „żyć”.

I szykować zaczęto się na dni, w których upał zakwita jak kragły i sztywny kwiat ze szkła – jak przygotowuje się ktoś na spotkanie długo oczekiwane.

To potraktowano tę sprawę z zielenią jak spotkanie z życiem samym, z wielkim zdarzeniem życia,

reprezentowanym na ten raz – i, jak zwyczajnie o tej porze – przez upały lakierowe i nieporadne, i przez niesłychane możliwości, jak zwykle.

Przybrało zaś to zdarzenie przebieg niesłychanie banalny, właśnie jak zawsze, a mianowicie:



Wszystkie trotuary i ulice zasypał naraz płowy karton i papier pudeł i torebek od kapeluszy i damskiej konfekcji, jak różowe listki kasztanów zasypują szare ulice czerwcowe.

Trotuarami zaś i skwerami toczyły się torsy kobiece: w ondulowanych fryzurach antyczne torsy bez oczu; bez oczu na fale mięsistej zieleni i na gromady przeróżnych, niezwykłych i delikatnych spraw, które działy się w otoczeniu i miały wkrótce przeminąć. (W torsach antycznych, w biustach z witrzyn fryzjerskich i w damskich biustach z ulic wypatrują ślepe wydrążenia oczu życie; są wyteżone na nieznaną dreszcz szczęścia i nieznaną jego możliwości.)

To, co leżało w mocy ludzi – to robiono: było to *arrangement* przyjęcia, jakie życiu gotowano. I okazać miało się przy tym, że porcelanowe torsy z pierściami nie potrafią odpowiedniej przyjąć życia, jak: nowymi, nieużytymi jeszcze sukniami.

Tego roku zaś były w modzie i w obiegu materiały gruboziarniste i mięsiste; z kolorów zaś: ciepłe chromy i matowa siena kontemplatywna. W nich dochodziły jeszcze do głosu mdle tęsknoty i niepokojne surowców i życia.

Przy tej sposobności odkryto także niezrozumiałe, a jednak niewątpliwe działanie nowych, elastycznych jeszcze i nieużytych materiałów: zauważono, że pomagają zapomnieć o rzeczach przepadłych, na które już nic poradzić nie można; że zatem mogą pomóc żyć.

Szare morza i muszle serc

Na brzegu szarego Morza Bałtyckiego zielenią się topole w żółtym piasku. Na brzegu szarego morza leżą tysiące muszli, wypłutych z wody, szarością i życiem falującej.

W szarym morzu letnich ulic zanosi naraz duszną wonią traw morskich. Ten zapach wprowadza w ulicę niepokój, jak nagle i ukryte możliwości. Jest już lato.

Wtedy rozumieją ludzie, że życie, które wyrzekło się „czekania” – tak określano pierwiastek nieporadnej i lepkiej ciężkości w człowieku – jest smutne i jałowe: muszla, wypłuta z dusznego morza tęsknoty.

Wtedy ludzie chcą raz jeszcze „tęsknić”; całkiem nieporadnie, jak kiedyś.

I nagle zaczynają spadać w ulicach wielkie liście spraw przegranych i staje się całkiem niewątpliwym, że można spóźnić jakieś niepowrotne sprawy życia i że nigdy potem nie przychodzi nic, jak po raz pierwszy.

W taki dzień szary, jak ciężkie Morze Bałtyckie w płowym świetle, nie można było chcieć „tego właśnie, co przychodzi”.

W taki dzień, kiedy ulice są jak morza i odzwierciedlają szare niebo – nic nie może poradzić na żal przypadłych spraw.

A przecież: tyle dni jest w życiu, tylu ludzi. Trzeba zapominać: jeszcze zawsze coś nas czeka w życiu.

Dni deszczowe

Potem przyszła seria dni z deszczami. Wedle kalendarza miały być te dni, jak z lakieru żółtego, lepiałego się do palców i do duszy i o niezrozumiałej rozpiętości, w której wszystko ma sens nieoczekiwany.



Tymczasem obciosywała dni pośna, tępa szarość i trzeba było znowu oprzeć się o jaskrawą ścianę plakatów, udając czekanie na kogoś umówionego, chociaż czekać nie było na kogo.

A w pewne popołudnia i w zmierzchu pewne było nawet zupełnie, jak w niemodnym i wyszłym już dawno z obiegu szlagierze, w którym była mowa o tym, że „szczęście trzeba rwać jak młode wiśnie, póki jeszcze czas i czar nie pryśnie...”

To były niewątpliwie słowa, przypominające kleistą i zrezygnowaną woń znoszonych do ostatka sukien i jakichś dawnych, nieporadnych, sytuacji, o których chciałoby się zapomnieć do ostatka, z których wspomnieniem żyć nie można.

W te dni deszczowe roku 1933 zrehabilitowano jako coś, co należy do życia, tę rzecz i fatalność, która działa się wtedy z ludźmi. Ale jak zwykle rzeczy najbliższe i prawie już banalne – wydała się i ta sprawa nieprawdopodobnie od życia daleka i jak wymyślona prawie. Wtedy też zauważono, że nawet figura heroicznego życia, które od pewnego czasu łączono z ruchem i kształtem prostokąta, ma kroplę melancholii w tym szarym wydłużeniu linii i smutnym powtarzaniu; że wobec tego może potrzebna jest życiu kropla melancholii?

Tak zatem zdobyły niespodziane szanse: wszystkie dzieje „serc połamanych”; „chodzenie ulicami, które już niczego nie chcą” i „czekanie na życie”. To wszystko zdawało się należeć do życia.

W tych dniach, szarych od deszczów, grano w barze „Femina”, przez cały miesiąc z rzędu, każdego wieczora, tango z tekstem... „że albo wszystko, że albo nic”...

Kwiaciarnie azaliowe

W mieście błękitnej szarości i pięciu milionów nóg – są także sklepy z ogromnymi, płaskimi, kulistymi kwiatami.

Azalie z kwiaciarni na Boulevard Montparnasse w Paryżu są doskonałe. Są koloru lososia i koloru pomarańczy i prezentują w stu niuansach kolor marynowanej wytrawnej ryby lososiowej i kolor kulistego owocu pomarańczy.

Azalie z bulwaru Montparnasse nie potrzebują już woni przeciagłych i kontemplatywnych, jak zwykle kwiaty. One mogą już być jak z blachy atlasowej, bezwonnej blachy: całą duszę włożyły w kolor, niezrozumiały i pełen smutnych doświadczeń, jak metal blachy.

Rzecz dzieje się latem 1933, równocześnie z opisanymi zdarzeniami. Przez szumiący bulwar Montparnasse przechodzi nagle smutek ogromny – blaszane morze melancholii. Przedostaje się, nie wiadomo którejdy, ze sklepu azaliowego.

Jest dzień szary i słodki, jeden z całej serii; ludzie szukają twardych przedmiotów dla rąk, albo ścian szarych i ścian kolorowych plakatów; są w poszukiwaniu zdarzeń wyraźnych i jednoznacznych; a to, co dzieje się ze sklepem azaliowym, jest w gruncie rzeczy bardzo podobne do sprawy dawno znanej i całkiem pospolitej, ale przez dłuższy czas nie można przypomnieć sobie, skąd zna się ten ciężar tępy i bezbarwny. Aż nagle wie się, że przychodzi zawsze, ilekroć rzecz jakaś naszego życia dobiegła końca i nic więcej z nią stać się nie może.

Przed tym sklepem z azaliami, które są jak z melancholijnej i twardej równocześnie blachy wykonane i jak gdyby wypróbowały już wszystkie zapachy możliwe, staje się nagle życie jak sztreka długa i szara, gdzie wszystko już jest zalatwione i minęło wszystko, co przyjść miało.

I nagle nie do wytrzymania stają się rzeczy doskonałe i słodkie spotkania i wytworne azalie pomarańczowe. I nagle pragnie się, bezsensownie, żeby były pokoje jakieś nieforemne, pokoje za wielkie, sprzętami i ludźmi zawalone; i „losy przegrane” i „miłości nieudane”, „nieszczęśliwe miłości” ...

To wzbiera i pleni się chwast tęsknoty do spraw, pełnych szorstkiej samotności; i do kaprawych liści lopuchowych nieporządku.

I niby groteskowe motto tandetnej powieści życia – kształtuje się zdanie takie:

„...wśród rzeczy doskonałych nie ma więcej miejsca na życie... Stąd bierze się tępy smutek, stąd opuszczenie, towarzyszące każdej rzeczy pięknej. I dlatego potrzebna jest ludziom kropla surowego nieporządku i szorstkiego opuszczenia w rzeczach...”

I pomyśleć, że do zdań tych daleko idących doprowadziły nieważne azalie, jak z smutnej blachy sporządzone!

Ale tak jest już zawsze, że nic nieznaczące rzeczy przypominają najważniejsze sprawy życia.

Żołnierze maszerują

A lato, które w końcu przyszło, odbywało się w sposób niezwykle i niezgodny z regułą i kalendarzem.

Nastalo i przechodziło bez żółtych upałów, bez much i bez motyli. Nie miało ani głębokich perspektyw gorąca, kiedy nagle wszystko jest jeszcze do zrobienia, ani szklanej ciszy, w której wszystko jest zawsze stracone. A jednak odbywało się, i przechodziło.

Poznać było to można po drzewach, ciemniejących w zieleni. Potem po żółknących już gdzieś gdzieś kasztanach.

(Z takim latem nie można się w żaden sposób liczyć i daje się po kolei liściom ciemnieć i żółknąć, a „sercom” – co za słowo staromodne – być jak naczynia, przelewające się od spraw przegranych).

Było tak, jak gdyby zatracono gdzieś rachunek życia, jak to lato niezdecydowane i tępe.

I chociaż kilka tygodni temu – i właśnie tak, jak każdego roku o tej porze lepkich liści – postanowio-

no „żyć” – teraz postanowienie to jakby zupełnie wypadło z pamięci. I ludzie już nie chcieli niczego i robili wszystko bez przekonania, nie angażując się do ostatka, jak w niepewności, co w danym momencie czynić wypada i jak to dalej pójdzie.

Potem, jednego dnia, ogarnął ludzi pokraczny jakiś pośpiech: odrobić wszystko, co do życia należy.

I tak właśnie to formułowano: „odrobić życie”.

Aż w tę atmosferę katastrofalnych napięć weszło zdarzenie, wykazujące niedwuznacznie, że świat stoi jednak na dawnym, obliczonym i dobrze ufundowanym miejscu i że zawsze jeszcze można „wrócić do życia”.

To zdarzenie wyglądało, jak następuje:



W ulicach maszerują żołnierze. Maszerują w wielkich prostokątach. Ubrani w mundury o szarości błękitnej, szarości ciepłego dnia bez słońca.

A na błękitnych mundurach żołnierskich – cztery guziki, na glanc wypucowane, dokładnie kuliste guziki cztery.

Ludzie-żołnierze stoją na pionową baczność. Teraz: lewa noga idzie w górę; teraz: prawa noga; teraz znów osobno wraca każda noga do asfaltu pod sztywnym, prostym kątem do ulicy. I nagle wydaje się, że oni myślą tymi nogami; że kontemplują nogami w marszu pogrążonymi jakąś sprawę kanciastą i płaską, może zdarzenie tego chodu we wielkich, błękitnych prostokątach z żołnierskich mundurów i z guzikami w polysku?

W pewnym, z góry oznaczonym i co dzień tym samym miejscu, wytryskiwał błękitny prostokąt grubą fontanną głosów: najczęściej śpiewano jakieś tango, w krótkim rytmie marszu utrzymane.

Ten sylogizm chodzenia wydawał się tego lata nie mniej i nie więcej bezcelowy i niepotrzebny, jak każde inne zdarzenie. Więc nikt nawet nie dziwił się, że można je traktować z całą rezygnacją, należną życiu: jak rzecz przyjętą i przez się zrozumiałą.

I tak nie wiemy całkiem, co może stać się ważnym w życiu i że każda rzecz może być inaczej ważna, niż jak jej wyznaczono: oto błękitny prostokąt maszerujących żołnierzy pomagał tego lata „wrócić do życia”. Tak bardzo było to całe zajście do życia samego podobne.

Po kolei kwitły: jaśminy, akacja, w końcu lipa.

I znowu, na chwilę, było „za mało życia”, jak wtedy, kiedy szczęście wyznacza jego miarę i każde gro madzić „życie”.

To sprawił błękitny prostokąt żołnierzy; on spełnił rolę szczęścia tego lata bez much i bez upałów.

Złoto wiozą okręty

Tak właśnie było: to wszystko, o czym dotychczas była mowa, rozgrywało się latem roku 1933, i tak właśnie.

To wszystko było autentyczne. I ważne dla ludzi jak samo życie, chociaż świat wypełniały zdarzenia, należące do innej serii i porządku.

Te inne – to były sprawy, związane z losem materii. I właściwie szło – i inaczej nie można było tego określić – o regulację sprawy tej materii nieporadnej, skazanej ze swym losem na ludzi. Co pewien czas przerasta świat chwast nieporządku i wtedy nachodzą ludzi dziwne, ślepe potrzeby i pasje: przestawiać i przerabiać, porządkować życie inaczej. Taki właśnie czas nastal teraz.

Ale naprzód przybrało to zdarzenie postać taką:

Pod odrapaną bramą w stylu biedermeierowskim, przy ulicy Śkarbkowskiej, numer 28, czekają bezrobotni. Każdego pierwszego i piętnastego idą na górę: schodami wkleśło wydeptanymi. I wedle alfabe-

tu. Potem czekają dalej. Chcą przeczekać czas, który się nie liczy, aż do podjęcia „życia”.

W tym samym czasie nie mają więcej co począć z lepką materią i ze złotem; z życiem i ze szczęściem – królowie węgla, tłustej ropy i zapalek. Za dużo rzeczy było dla nich na świecie i nie było co począć z niepotrzebnym tłumem produktów.

Wtedy też zdarza się rzecz, która może być ilustracją, jak dalece może coś być całkiem inaczej ważne niż potocznie i należeć w równej mierze do życia – jak raz już pokazało się przy okazji paryskich azaalii i żołnierzy maszerujących.

Oto w tym czasie wyszło jakoś, że za mało jest złota na świecie i że przerosły już dawno drogocenną jego łodygę chwasty i brudne stosy rzeczy do kupienia. Wtedy kraj Ameryki, pejzaż skoncentrowany i pełen twardej równowagi – zaczął odbierać swoje złoto gnuśnej i rozwiązłej, miękkiej i politycznej Europy.

Z portów Europy wypłynęły okręty „Berengaria”, „Liverpool”, „Georgika”, a jeden okręt szalony nazwany się nawet „Manhattan”.

W 250 niezgrabnych, terem zalatujących skrzyżowaniach płynie czerwony metal oceanem. Nikt nie zwraca uwagi na ten transport bezimienny i fantastyczny, nikt nie myśli o tym, że złoto wymienia się na rzeczy: na suknie, na bućki, na kartofle.

W całej tej sprawie zaś może okazać się ważnym, na przykład, pejzaż z czerwonego złota i fantastycznego kobaltu morza, pełen niezrozumiałej, a przecież najpewniejszej treści.

Ale ludzie jeszcze tego nie widzą. W bezrobotnych ludziach spod bramy przy ulicy Skarbrowskiej 28

jest jeszcze lepki osad dni, kiedy przerabiali materię życia, pośną i tłustą, bezwyrazową i cuchnącą na perły dla kobiet obcych, perfumowanych „Zmierchem Paryskim”, perfumą będącą nie wiadomo w którym miejscu sukni.

Jeszcze są nasiąkli kleistym i płaskim zapachem nudy i goryczy, sztywnej jak liść lopuchu. Jeszcze nie czują szczęścia, które jest wszędzie, gdzie są rzeczy twarde, pachnące metalami i ruchem.

Widocznie nie jest to jeszcze ważne w planowej epopei życia i czeka, aż wszystko inne będzie już załatwione. Ale już teraz jest widoczna rzecz, która przyjdzie niedługo. Leży już w lepkiem powietrzu tego stania pod bramą urzędu dla bezrobotnych; kiśnie w tym staniu pustym i odgradzonym od reszty świata.

Wkrótce przyjdzie. Przybierze postać żrącej tęsknoty za szarym hałasem; za nieporadną słodyczą rzeczy płaskich; za twardą pełnią kulistości i łagodną melancholią przedmiotów prostokątnych.

Wtedy nie będzie więcej czasu na pytanie „na co” czy „dla kogo”.

Lato kalendarzowe

Ale w końcu przyszło lato z kalendarza i można było wrócić do zwykłej kolejności i porządku życia. I nie trzeba było więcej uważać, żeby nie wpaść w fatalny jakiś szereg wydarzeń, zablakany z obcego wymiaru, z jakiegoś czasu marginesowego, który nigdzie nie przystaje i jest niepodobny do siebie.

W planie zaś przyrodzonym tych dni leży smutek wszystkiego, co przyjść może i co do życia należy; to są dni – całe jak z blachy; z blachy doświadczonej i smutnej i jak z nieporadnego lakieru. I takie właśnie przyszło życie.

Teraz nie szły więcej oddzielnie: odwieczna, blaszana, nieporadność człowieka i upały z lepkiego lakieru; rzeczy przepadłe i przekwitające akacje; chodzenie kulistymi placami i żółknięcie drzew.

Zielone, mięsiste liście, bryły kolorów pachnących i rzeczy przegrane należały teraz dalej do siebie; i znowu można było to wszystko razem objąć jedną nazwą, wziętą z niezwykłej i niezuszytej jeszcze ter-

minologii: dni metalowych, sztywnych sukien, rąk i kwiatów. Metale, lakier, upały, chodzenie ulicami i placami mają w sobie jednakową, nieporadną i słodką sztywność. A lato jest całe jak z metali złotych i szarych.

Ludzie zaś byli w jakiś sposób szczęśliwi; tak właśnie wyglądała ta rzecz, którą szczęściem nazywamy.

Tylko ludzie, o których mówiono, że są „złamani życiem”, nie umieli nawet doznawać smutku. Im to zdarzyła się właśnie jedna z tych historii niezrozumiałych i niedorzecznych, z których składa się zwykle życie.

„Serca złamane już na zawsze”

Z życiem wtedy tak rzecz się miała: orientowało się – chociaż nie wszyscy wiedzieli o tym – figurą prostokątą, heroiczną figurą życia i szarych przygód. Było jak długa płaszczyzna, pełna monotonii, skoncentrowanych, twardych ruchów i słodkiej melancholii.

Tego lata jednak zaczęto tolerować element okrągłości: przybierał on kształt miękkiej cielistości; tęsknoty i czekania; występował jako potrzeba zdarzeń bezsensownych.

I nagle staje się oczywistym, że do życia potrzebne jest szczęście. Równocześnie okazuje się, że pełno jest ludzi o „złamanym sercu”.

Chodzą ulicami. Dotykają obcych rąk i liści.

Jeżeli to są kobiety – zmieniają kapelusze i suknie; materiał ten i drugi, ziarnisty i atlasowy; kolor duszny i czerń chłodna.

A przecież: „nie mogą żyć”. Tak właśnie – nie mogą żyć. Między nimi a życiem stoi rzecz nieważna,

która miała się stać i nie przyszła. Właśnie miała dać tę kroplę szczęścia, zawsze potrzebnego do życia.

Tego lata zaczęto znowu w jakiś sposób liczyć się z ludźmi, którzy mówili, że mają serca złamane już na zawsze:

Jak gdyby oni także – nie mniej i nie więcej jak my wszyscy – mieli być tylko przykładem i ilustracją jednej z kilku możliwości w życiu.

Banalne serca, strzałami przecięte, serca z bladoróżowych murów Utrilla i wszystkich tylnych murów miasta należą widocznie w równej mierze do życia jak chodzenie, szczęście i liście z chromu marki „Pelikan” w miesiącu październiku i listopadzie.



Góry i rzeki jak w roku 1926

Ta wspaniała przygoda z kontemplatywnymi górami kobaltowymi i rzekami z chłodnego metalu wody może z powrotem przytrafić się wtedy dopiero, kiedy jest się znowu – po kilku latach znowu – „złamanym już na zawsze”.

Wtedy mogą być z powrotem góry w mgłę niebieskiej jak śliwy i przypominać wodnistą tęsknotę człowieka; a góry w szarej mgłę są jak jabłka, które z kolei musi się porównać do opuszczonych ludzi w południowych ulicach miasta. Rzeki zaś są jak twarde postanowienia a nie – krople niepewne, niezdecydowane krople niebieskiej farby.

Wtedy zdarza się, nie wiadomo jak, ta przygoda: że należy się znowu do „życia” i że można „zapomnieć”.

Czy bierze się to stąd, że tysiąc lat stoją w miejscu góry i płyną rzeki, a jednak „żyją”? Czy stąd, że są jak twarde i tragiczne postanowienia? Czy stąd, że nie chcą niczego więcej, kiedy mają wszystko: powietrze, błękitne mgły szare?

Tak okazało się, że należy zrehabilitować to, co mówili często dawniej o „ucieczce w góry” ludzie do gruntu życiem zwyciężeni.

I prawdopodobną stała się ta rzecz, mająca zawsze przedtem posmak lepkiej beznadziejności; ta sprawa, łącząca się z obrazem ludzi, zabierających nam życie: nie mających co począć z czasem, sobą ustawicznie zajętych, niezadowolonych wiecznie ludzi.

Najważniejszą sprawą stali się teraz: ludzie szczęśliwi. Tylko oni „żyją”.

„Życie”

A potem, kiedy załatwiono się tak z dawno wycofanym z obiegu pojęciem „szczęścia” – przyszła kolej na pojęcie najtrudniejsze, chociaż wszyscy je rozumieją, na miękkie słowo: „życie”.

Zaczął się tak: dzień pachniał już szklanością października. Liście były żółte. Niebo ciepłe i niebieskie. Ulice szare.

Z baru „Femina”, ulica Karmelicka, numer trzydzieści siedem, dochodził refren tanga:

„...kogo nasza miłość obchodzi, jeśli nie ciebie i mnie; komu nasza miłość zaszkodzi, kiedy nam obojgu jest źle...”

W tej chwili i bez zrozumiałej przyczyny przypomniała sobie pani w miękkim drap-kostiumie, jak również kilku innych passantów w sztywnych melonikach i jasnych paltach, że „trzeba życie brać, jak długo można” i że każdy właściwie ma życie niezależne, stracone lata i nieużyte możliwości.

Tak właśnie to formułowano, to wszystko, co działo się z ludźmi w ten szklany dzień październikowy; że trzeba życie wykorzystywać.

I to był początek długiego i trudnego traktatu o życiu, naraz znowu potrzebnego, chociaż wydawać się mogło, że są to sprawy znane i załatwione już od dawna.

Sformułowany był ten traktat stylem tanim i ogólnikowym. Takim stylem zwykli posługiwać się marzyciele; ludzie „dążący do doskonałości”; ludzie, doskonalący się w tym celu, by dorównać w „przeżyciach” tym innym, uprzywilejowanym w hierarchii duszy i jej przygód zawitych; odkrywający z wielkim patosem i wibrującym od wzruszenia gestem rzeczy dawno już odkryte i załatwione.

(W naszych warunkach życiowych są to głównie: fryzjerzy, manicurzystki, kelnerzy – ludzie skazani na obce życia z drugiej strony witryny).

W rezultacie wydobywał taki styl tandetność życia, występującą nieodłącznie – i jakby to był jej znak – z perkalikową nadzieją na coś, „co ma przyjść”.

Ale tak się stało, że fakt ten nie budził teraz goryczy ani niepotrzebnego patosu: w tym czasie przyzwyczajono się traktować nieporadność i blaszana słodycz zdarzeń, jak zdarzenie życia samo.

Traktat o życiu: rozdział pierwszy

Wystarczy wyjść na ulicę, w bursztynowy zmierzch października: wtedy, między godziną czwartą a piątą po południu, jest życie zawsze „złamane”, cokolwiek by się z nami nie działo.



W „Salon de beauté”, ulica Karmelicka, numer dwudziesty piąty, manicurzystka jest jak z wosku i w wysokiej fryzurze, fason lalki z 1924; fryzjer nosi uczesanie z ondulacją i w intensywnych perfumach *mille-fleurs*; zaś właścicielka salonu jest ciągle jeszcze jak wisząca na ścianie, bardzo retuszowana fotografia damy z 1900 o głęboko wciętej talii i w kolnierzyku na fiszbinach, tysiąc dziewięćset ostatnia moda.

Był właśnie słodki, bursztynowy zmierzch w miesiącu październiku, kiedy właścicielka Salonu Piękności przy ul. Karmelickiej zwróciła się do subiekta, bezceremonialnie i wobec wszystkich gości, z bezsensownym pytaniem: właściwie po co ja mam żyć?

W tej chwili i jakby w odpowiedzi zakolysała się i poruszyła woskowa manicurzystka pod lila abażurem i podała pani w bleu-sukni aluminiową miseczkę z wodą do paznokci.

Następnie wziął się fryzjer, halaśliwie i z fantazją, do ondulowania jednej fryzury po drugiej, ze szczególną, pieściwoliwą, troskliwością doglądając fasonu każdej pojedynczej fali włosów, co trzy centymetry fala.

Młodsza praktykantka zaś ze swej strony zaczęła – z niewytłumaczalnym pośpiechem i niczym nieuzasadnionym harmidrem – porządkować i ustawiać puszeki z henną czarną i brązową.

Tak dochodził do głosu, na tanim widoczku z damą i sztywnymi rzędami puszek z farbą do włosów gatunku: henna, fakt, że jest po co żyć na świecie. I czyż mogło to odbyć się inaczej w tym otoczeniu i w tych okolicznościach?

I tak zaczynało się to stale. Pytaniem: „na co żyć” zaczynało się każde życie pojedyncze i traktat jesien-ny o życiu.



Rozdział drugi traktatu o życiu

„A jednak warto żyć”.

Tak zaczynał się zawsze drugi rozdział traktatu i życia.

Jest wtedy zwykle lato, a lepka, szeroka i gruba materia świata kiśnie od zapowiedzi, zapachów i możliwości. Jest podzielona i rozczłonkowana na różnego gatunku bryły: bryły grube, obwisłe i niezgrabne; bryły napięte i elastyczne jak czekanie; i płaskie, nieważne, anonimowe płyty blach metalowych i nieporadne, papierowe, okrawki szerokiej, pewnej siebie, sprośnej nieomal z nadmiaru pewności, materii życia.

To wszystko wchodzi w pieszczące i pełne duszy kontury: ciał i piersi; chwastów; liści, murów, flaszek i zdarzeń. I wtedy jest po co żyć na świecie.

Alejami parków miejskich chodzą wtedy ciężkie torsy z okrągłymi piersiami; wciskają w gorsety z brokatu cielistego i brokatu koloru apykozy szerokie, bezładne warstwy i fale ciała. Tego ciała jest

za dużo. Ciało pachnie szerokimi liśćmi lata. Musuje
możliwościami.

Wtedy oglądają się za nimi stare panie w opadłych
sukniach, obwisłych zwłaszcza w okolicy piersi. I lu-
dzie, którzy „nie mogą żyć”.

I wtedy można być pewnym, że wszyscy passanci
myślą o jednym i tym samym: że niepowrotnie
przemija życie i taki jedyny, miodny dzień, pełen
możliwości i tysięcznych zapowiedzi.

Jest wtedy zawsze brązowy skwar; świat jest me-
talową i kipiącą kulą upału, a życie warte zachodu.



Zdanie trzecie traktatu o życiu

Miesiąc październik, który cały jest z miedzi i sa-
mego ekstraktu szarości, zdaje się szczególnie nada-
wać do traktatów o życiu. Pociąga i nęci w szarą
okolicę pojęć, może dlatego, że tak bardzo podob-
na jest do jego własnych, szarych i kontemplatyw-
nych prospektów.

I tylko na tym tle możliwe i zrozumiałe, i w tych
okolicznościach dopuszczalne było zdanie banalne
traktatu: „żeby przechodzić przez życie”.

(Życie może być jak obca ulica w dawno bardzo
znanym mieście. Domy takiej ulicy na przykład są
o gładkiej, kwadratowej fasadzie: domy kontempla-
tywne. Kanty tych domów są lekko, aksamitnie
prawie, zaokrąglone. Są tu również balkony, kuliste
i całkiem nieoczekiwane: na ścianach bocznych
i niepotrzebnie nisko, przy samym prawie trotuarze:
lodygi półkoliste, wychylające się z pnia ściany.
Obok może być nagle szary, szorstki, wystający dom
o nieokreślonym gatunku mieszkańców).

Ulicą Karmelicką przechodzi o tej popołudniowej szarej już godzinie październikowej stolarz mebli stylowych Sz. z ulicy Gródeckiej; jest w drodze na ulicę Teatyńską, gdzie ma dostać zamówienie na pokój pani z kobalutowego szlaflika.

O kilka płyt dalej idzie pani w matowym brąz kostiumie o doskonałej linii, z materiału o fakturze ziarnistej i pełnego łagodnej kontemplacji, w kapeluszu z miękkiego filcu, dokładnie tego samego koloru, co ubranie.

Pani w matowym brązie idzie płynąco, kołysze się lekko na nogach łagodnie sklepionych, łączy się każdym krokiem w osobnym zamyśleniu z jedną szarą płytą trotuaru.

I widać, że wyszła z domu z planem długiego chodzenia ulicami, przypadkowymi, jakie właśnie się nadarzą.

Ulica Karmelicka we Lwowie jest ulicą zawsze pełną pastelowej słodyczy i jakby przeznaczoną na chodzenie „bez celu”. Wzdłuż jednej strony, przez całą prawie długość, łączy się wprost z niebem szarym lub niebem niebieskim jednolity, i łagodny, biały mur, sam – kawał szarego nieba. Jest wolny od fasad domów o przeróżnych wibrujących duszach, fasad wprowadzających w ulicę niezdecydowanie nastroju i wreszcie zupełny zamęt, jaki należy zazwyczaj do nastroju.

Chodzenie może być bezcelowe, kiedy traktujemy jego fenomen pod kątem widzenia załatwiania określonych spraw życia. Faktycznie zawsze ma cel, niewątpliwy, chociażby nie dawał się on bez reszty uwierzytelnić pełną przyjętą, uznaną i ustaloną potrzebą życia.

Czy nie idzie w tym wypadku na przykład o to, by „zapomnieć”? Zapomnieć, dajmy na to, o rzeczy nie do naprawienia, której wspomnienie ogarnia jak rzeka i jak nieobliczalna pasja przy każdej sposobności, na widok muru białego lub kasztanów z chromu?

Pani w matowym brąz kostiumie jest śliczna: ma skórę jak z kory brązowej, naciągniętej na różową apyrykozę i cudne brązowe oczy. Przez nią dochodzą do głosu – przy współdziałaniu sentymentalnej ulicy Karmelickiej – tanie potrzeby i zakusy duszy chcącej zawsze „zapomnieć”. Jest wtedy miodny zmierzch i tak, jakby już nie można było żyć dalej.

Ulica Karmelicka nie ma prawie zupełnie ruchu autowego ani kołowego; nie będąc żadną arterią komunikacji, łączącą odległe centra życia, jest ulicą nadającą się dla zmęczonych i rozczarowanych. Rzadkie auta mają stałą klientelę: kobiety, udające się do sanatorium położniczego przy ulicy Kurkowej, kobiety oszalałe od nieuchwytnego i maskowanego entuzjazmu na myśl, że już za kilka godzin będą matkami.

Pani w jasnym palcie pod kasztanami zagłada do każdej przejeżdżającej autodorożki. Na jej twarzy osiada lekki pył smutku i słodyczy i cała jest jak zmięty liść jesienią.

O tej porze ma ulica jeszcze kilku przechodniów, idących krokiem śpiesznym i roztargnionym. Taki chód nie daje żadnych możliwości: nie pozwala wykorzystać specyficznej treści ulicy, w której ciała i suknie passantów wydzielają elastyczność i coś jakby sens życia. Tych parę ludzi nie chce – najwidoczniej – niczego więcej, jak odrobić jak najprędzej od-

ległość ulicy: na tę godzinę popołudniową wypada jeszcze sztywny rozdział z zajęciem albo powrót z biur do domów.

A z baru „Femina”, Karmelicka, numer 37, przychodzi refren tanga, granego zapamiętane, przez cały miesiąc październik, że... „albo wszystko... że albo nic...”.

Wtedy znajdują w sobie passanci całe pokłady doświadczeń, które biorą się nie wiadomo skąd i są jak komentarz do tej ostatniej mądrości życiowej: że albo nic... albo wszystko.

W tej formule, reprezentowanej na ten raz przez tekst tanga, nie ma jednak aluzji do tępej, lopuchowej vegetacji duszy; należy wykluczyć tu daleką lakonizm konsumpcję zdarzeń i losów, albo nastrój „czekania na los”. To jedynie niedobra nomenklatura, wyprzedzona przez historię i wypadki, przypomina jeszcze w swej nieudolności ten czas życia, kiedy posługiwano się – dla orientacji – takimi pojęciami na przykład, jak „czekanie” lub „rezygnacja”.

Tymczasem oznacza to zdanie coś całkiem innego: nie mniej i nie więcej jak ostatnie, „trzecie” zdanie o życiu. Formułę, która w innych okolicznościach brzmi: „przechodzić przez życie”.

I nic już nie może na to pomóc, że zdanie to powtarza się w refrenie piosenki brukowej. Każdy czuje zresztą, że i w niej ma się na myśli najpoważniejsze życie, jednakowe we wszystkich okolicznościach, niech będzie nawet w tanich zakusach nastrojów...

Tak dochodzimy do końca traktatu jesienno o życiu. Jest wtedy zawsze koniec października, a żółte i rdzawe liście pachną surową farbą i melancholią zakończonych spraw.

Komentarz zaś do tego zdania powinien brzmieć, jak następuje: Kiedy człowiek wkłada całą pasję życia w sprawy wybrane, rzadko znajduje, co szczęściem nazywamy. Wtedy mianowicie jest: 1. albo „złamany”, kiedy nie przychodzi to, co stać się powinno; albo 2. „ma za mało życia”, kiedy wszystko przychodzi, co przyjść może.

Karmelicka. Przeciągły zmierzch październikowego popołudnia wypełnia nieoczekiwanymi sklepieniami i wypukłymi, trochę smutnymi kolorami ten rzeczowy komentarz do życia, zawsze nieobliczalnego; nasycy sensem i słodyczą płaski krajobraz pojęć, którym kończy się znowu rok jeden.

Zmierzch był, jak zwykle, w październiku, o tej porze. Pastelowy i szary, pełen niepojętych zapowiedzi był ten zmierzch, podczas gdy z kasztanów, murów i twarzy opadał szerokimi, zmiętymi liśćmi smutek.

Ale dzisiaj nie liczono się z tą pierwszą, sentymentalną, szycią wieczoru. Wieczór prezentował dziś jakby drugą warstwę swej materii: niepojęte o tej porze roku i o niebieskim zmierzchu perspekty, na które składały się rzeczy szorstkie; twarde, metaliczne aromaty i bezimienny zapach chodzenia, przedmiotów, nieużytych sukien.

I pełno na ulicach gliniastego i gryzącego zapachu; pełno zapowiedzi spraw surowych i jak chwasty wstrętne, mających dać to szczęście niepojęte.

Wieczory październikowe

W zaokrągleniach ulic i trotuarów rosną tymczasem kasztany; dopiero teraz je widać.

Są już czerwone i ciepło-żółte i przesłaniają prawie niebieskość i szarość, z których jest ulepiona przestrzeń październikowa. Teraz dopiero je widać: stopy ciepłej chromowej farby. Narożnik „Wałów Gubernatorskich” jest zaokrąglony. Jeszcze dalej: narożnik Karmelickiej i Ruskiej. Tam właśnie szeleszczą teraz płaskie, papierowe masy falującej miedzi i ciepłego chromu: kasztany.

W takie wieczory jest każde mieszkanie płaskie i jakby pośne. Ulice natomiast są jak fantastyczne, jak nieoczekiwane sale, pełne sklepień i elastyczności ciała w ruchu i tej treści niezrozumiałej, jaka powstaje zawsze przy spotkaniach.

W to miodne popołudnie pękł kocioł fabryki wyrobów metalowych „Gentelman” w Łodzi „powodując śmierć kilkunastu ludzi” (jak zwykle w gazetach donoszą). I niewątpliwie działały się w świecie rzeczy od

tego wieczoru ważniejsze i zdolne zmienić życie samo. Te kasztany tymczasem robią z człowieka strzęp żalości, zmięty zmierzchem i zapachem szarości, jak żółty liść.

W takie wieczory nie pozostawalo nic innego, jak po kilka razy okrążyć łagodny łuk szarego trotuaru z żółtym kasztanem. Łuk trotuaru był jak rzecz, przemijająca niepowrotnie, którą trzeba wykorzystać jak życie samo i jak szary zmierzch z żółtymi latarniami.

To było cudne i nieocenione zdarzenie i jak spotkanie niezrozumiałe w swym znaczeniu.

Aż kiedy w końcu wracało się do pokojów, w których mieszkamy – próbowano zrozumieć to zdarzenie niepojęte, zdolne wypełnić cały wieczór życia. Wtedy całkiem nieoczekiwanie przybierał ten proces postać takiego zdania:

„Kasztany były ciepłe od żółtości. Ulice – jak akksamity z matowych szarości i bursztynow. Narożniki trotuarów były miękko wyokrąglone.”

Nic więcej nie umiano opowiedzieć, jak to właśnie, z tymi narożnikami.

Tak nic nie mówiąco wypada historia jednego z najbardziej kolorowych zdarzeń całego roku.

Podjmuje się życie od początku

Tymczasem przechodzi październik i nastaje przeźroczysty miesiąc listopad. Cisza, lepka i jak chwast gryząca, leży ciągle po fabrykach. Gazety zaś pełne są szpalt o dalszych redukcjach.

To zabiera się ludziom mdłą woń perkalu i miętki, łagodny zapach sukna; chłodny dotyk szkła i smutną lepkość nafty. To pozbawia się ludzi wielkiej, elastycznej przestrzeni i zostawia w przestrzeni opuszczonej, płaskiej, jak lupa kartoflana.

Równocześnie idą w gazetach coraz częściej anonsy sanatoriów położniczych: ciała kobiet są jak drzewa i rodzą najchętniej jesienią.

Tak zaczyna się nowa seria życia. I, jak każdego roku o tej porze i jak zwykle, pełne jest ono spraw własnych o niezrozumiałej i wypełniającej czas ważności, chociaż powiedzieć nie można, na czym ta ważność polega.

I właściwie podjęto życie dokładnie w tym miejscu, w którym przzerwano je kilka miesięcy temu: kie-

dy zaczyna się żółte, metalowe lato i – jak zwykle o tej porze – przzerwana zostaje kontrola nad losem, a ludzie oczekują czegoś od rzeczy i spraw gotowych, jakoby zawsze w pewnej ilości przechowywanych i trzymany dla nas w pogotowiu przez życie.

Na tym podjęciu losu przerwanego – tak, jakby nic w międzyczasie nie było zaszło – zakończył się rok, uwierzytelniony datą 1933.

Plaski prospekt życia

Między listopadem a falującą możliwościami, zapomnieniem i zielenią marki „Pelikan” wiosną – leżą jeszcze trzy miesiące płaskich prospektów bieli.

Tych trzech miesięcy nie można nawet brać w rachubę: płaskie i bezwyrazowe – jakimi są one – i pozbawione zupełnie perspektywy, wielkiej przestrzeni rzeczy opuszczonych i kulistej głębi zapowiedzi i możliwości.

W tym pejzażu nie ma i brakują już prawie ludziom barokowe drzewa liści; ani nie regulują życia lopuszowe liście szaleństw ludzkich.

Ten dziwny prospekt pauzy życiowej nie obiecuje już niczego. Dzieje się tu coś wręcz przeciwnego: sprawy raz rozpoczęte i zainicjowane leżą w nas nieruchomo, przekisłe i fermentujące. Można zatem już teraz zamknąć kronikę okresu, o którym traktujemy.

To był rok zwykły; w nim powtórzyły się, jak gdyby nic ważniejszego nie było w życiu, wszystkie ba-

nalne historie każdego roku: liście falującej zieleni i czekanie; lakierowe upały i słodycz chodzenia; różowe bryły kwitnących kasztanów i „rozczarowanie”; każdy rok ma swój własny plan szczęścia i jakąś sprawę przepadłą, włączającą się jak najzwyczajsze zdarzenie w stały przebieg czasu, w szereg przygód takich, jak: ulice z ludźmi i chodzenie.

Tam jednak, gdzie trzymamy teraz, w połowie miesiąca listopada, świat stoi u szczytu swej doskonałości; jest jak żołnierski marsz monotony, polyskujący milionem wyglancowanych guzików.

Sceneria pory roku odpowiada teraz zupełnie doskonałości monotony spraw. (Dwa razy w roku powtarza się ta szarość ulic i nieba; w połowie listopada, jak teraz właśnie, i gdzieś z końcem kwietnia lub z początkiem maja, kiedy pierwszy pył pokazuje się na asfaltach).

Kroplami liści (*terra rossa*, marka „Pelikan”) opada równocześnie smutek. Jest to niezrozumiały smutek, jaki odkrywamy nagle w doskonałym, i z życiem pogodzonym prostokacie.

I w końcu i jako ostateczna konkluzja traktatu o życiu wychodziło na to, że człowiek jest wazą na smutek, jakby do życia przeznaczony i potrzebny, i że wszystko tak właśnie ma być. Ten smutek był teraz twardy i metaliczny – jak dawniej rozlewny i delikatny. Więc i teraz, jak zawsze, kończyło się wszystko zdaniem, że jednak warto żyć.

Tak właśnie i tak banalnie kończył się ten traktat: że warto żyć dla samego zgiełku życia, że nie ma rady na życie.

Znany nam zaś jest ten aromat i sens szczęścia z ulic oświetlonych, pełnych nóg chodzących i roz-

mów; z budów, zanoszących surowością gryzącego wapna, tępej gliny i blachy; ze sklepów o sztywnie uformowanych, regularnych, stosach łagodnego sukna lub nieporadnego perkalu, i z wszystkich miejsc, gdzie w wielkiej ilości są nagromadzone przedmioty.

Wszędzie tam, gdzie zbierają się gromady i tłumy rzeczy, zanoszą elastycznym i przeciągłym, do niczego niepodobnym, rozległym zapachem życia. W nim atom nieodłączalny smutku.

Komentarze

Tymczasem trwa dalej listopad.

A pozostała reszta doświadczeń, prób życiowych i rozczarowań, wprawiona w ruch szarym pejzażem listopada – znajduje ujście w dwóch dodatkowych komentarzach do życia. Stylem przypominają one rzeczowe, nie potrzebujące już żadnej scenerii, zdania systemów, pisanych na modłę geometryczną; zdania, o których nie wiadomo, w jakich okolicznościach i przez kogo będą wygłaszane.

Oto komentarz pierwszy:

Tak właśnie leży obok siebie, zupełnie bez systemu, wszystko, jak w kronice zaprezentowanej: liście i próby życia; szczęście i mdłe krople grubej materii; chodzenie bez celu i pasja do szarości i konturów, które są raz na zawsze.

Łagodnie i równomiernie wypełnia życie faktura zdarzeń.

To są właściwie ciężary i faktury niezrozumiałego materiału życia; to, co nazywamy: „rzeczy i przeży-

cia"; tu reklama „Odolu” staje się dalszym ciągiem zdarzenia z kwitnącymi akcjami.

Gruba i lepka materia zdarzeń ma swe twarde sekrety. Ci, którzy mają bezpośrednio do czynienia z brudną materią życia – znają drogę do kolorowości.

„Trzeba znać ukryte sekrety materii” – tak brzmi pierwszy komentarz do życia.

Komentarz drugi

To nie jest jeszcze ta powieść, za którą opadła nas pasja, nagła i słodka, wtedy, na samym początku roku, w dzień z szarym niebem i ulicami jak szare morza i nieba.

Ale tak mniej więcej będzie życie traktował każdy przyszły romans: jak kronikę, do której wszystko należy i gdzie nigdy nie może wyjść fabuła i ciąg dalszy.

Kronika nie zna wydarzeń, które byłyby ważniejsze od innych; dla niej jest wszystko jednakowo ważne i potrzebne, gdyż wszystko należy do życia.

Kronika nie wyróżnia ostrych kantów tragicznych losów, ani brył rezygnacji. Tu dzieje się wszystko po kolei, jako ciąg dalszy i bez hierarchii zdarzeń. Stąd ta monotonia każdej kroniki, stąd to nieznośne czasem powtarzanie.

Zycie jest jak kronika: bryła anonimowa i bezprezjonalna. Dopiero przy bliższym wejściu można lepką i rozwiązłą masę życia rozłożyć na: losy po-

jedyncze i osobne sprawy; jak rozdziela się falującą w miejscu bryłę zieleni czerwcowej – na pojedyncze lodygi i liście.

W każdym miejscu można los przerwać i podjąć go potem na nowo: jak kronikę roku, przerwana w listopadzie, w miesiącu, który jest jak z miedzianej blachy, smutnej i fantastycznej, „jak samo życie”.

Akacje kwitną
1932

NOWA LEGENDA

Zdemaskowanie manekinów

Tak się to zaczęło: bezceremonialnie i naraz zdemaskował się mechanizm manekinów, poruszanych sprężyną tęsknoty. Ta sprężyna właśnie sprawiała, że zdarzenia tanie i tandetne („życie”...) były jak słodki los, a banalne spotkania – jak przygoda kolorowa i jedyna.

Tak okazało się: wszystkie historie ze „sprawami przegranymi” i „straconymi latami”; wszystkie historie „serc złamanych już na zawsze” – wszystko to było wycięte po prostu z romansu staromodnego, tanie i bardzo śmieszne. Jak nakręcone próbowały poruszać się figurki sztywnych panów w melonikach i pań elastycznych o wciętej talii. Próbowały przybliżyć się do siebie: na tym polegało główne zdarzenie życia. Figurki wydłużały się w oczach. (To wydłużenie talii i twarzy nazywano smutkiem; albo też: rozczarowaniem.)

Potem przyszło coś dziwnego: oto kolorowe sprawy życia, dotychczas traktowane jak los – zaczęły

przypominać mięso, surowe mięso jatek, pełne pasji nieobliczalnych i niepokoju.



Te „losy fatalne” i „kolorowe” – te przygody i spotkania były naraz jak rzeczy ciągle niegotowe, mdłe, o niewyraźnej, słodkawej i natrętnej woni; były jak ciasto przekisłe i jak lepki kłajster. Nawet ludzie wydawali się teraz jak z lepkiego ciasta, z ciasta tęsknoty, zrobieni, i tak dawali kisnąć swym pasjom, jak ciastu.

Pod palcami rozpadło się, zupełnie jak tandetny towar, długie i zawsze smutne zdarzenie, które nazywa się „życie”.

W tym czasie znikł z reklam i lamp miasta duszny fiolet; znikła fresowa czerwień, która wplątuje w niezrozumiałe i nieobliczalne awantury w ulicach bez ludzi; znikła nawet patetyczna żółtość cytryno-

wa, fantastyczna jak kuby i jak stalowe morza północne – kolor wyrzeczenia.

W granatowym jabłku nocnego miasta pokazał się neon, czerwony neon i błękitny.

Ta czerwień i ten błękit były chłodne jak stal. I chłodna stal zaczęła panować w mieście.

Tak zaczęła się nowa legenda miasta.

Nowe surowce są potrzebne

Tęsknota jest lepkiem materiałem spraw życia.

I jak z życia – postanowiono również z całej produkcji wykluczyć materie lepkie, rozwiązłe i pełne jakichś miękkich, niewyraźnych zachceń.

Ich miejsce zajęły wielkie krople skoncentrowanej szarości o rozmaitych ciężarach i nastrojach: była tu lekka i melancholijna szarość betonu i mocna maszynowa szarość żelaza; elastyczna stal i fantazyjna blacha, która chce już tylko tego, co jest. W końcu szkło, niezgrabna kropla wielkiej, bezkolorowej i chłodnej już lzy.

Z tych ciężkich kropli szarości można było dopiero wydobyć skoncentrowane szyby rzeczy – twarde i zdecydowane jak los. W tym świecie reprezentowała melancholijna miedź – potrzebną we wszystkim kroplę banalności i sentymentu.

Ale w skład nowego życia weszła również porcelana – krągła i uśmiechnięta – mimo że miała w sobie jeszcze jakąś resztę nieporadności.

Oto pałubiasta i nudna materia świata wchodziła w swój najdoskonalszy etap życia: w decydującą dla jej losu epokę sztucznych kształtów. To zaś było równoznaczne z życiem nieanonimowym i odpowiedzialnym, już uwolnionym od wyuzdania dalszych przemian, o nieprawdopodobnie emocjonującej monotonii.

Nowe manekiny idą

Wtedy odkryto także w ludziach duszę materiałów:

Duszę nieporadnej porcelany.

Duszę papieru i drzewa.

Duszę żelaza. Duszę blachy.

Równocześnie wyszły na ulice miasta lalki z wityryn, rozmaite koncepcje lalek. Tu głowa kobieca z kroplą porcelanowego smutku lub kroplą rozwiązłości, jak na zamówienie wszystko. Dalej szła lalka z na wpół zrobioną melancholią, której nie należy brać zbyt poważnie; tak sama niepewna jest siebie, tak nie wiedząca, czy ubrać się w maskę szczęśliwości, czy też odegrać scenę smutku w bladoróżowej sukni? Och i te szmatki sukien z wapnistego różu, czy niebieskości należą do całej tej zawilej sprawy z życiem...

I była także między nimi niepewna, zatracona maska ze zgniłych różów i zieleni (dawniej maska Toulouse Lautreca, na nowo zaprezentowana przez Pascina). I gruszkowa twarz kobiet Picassa o oczach



okrągłych i leniwych. A wszystkie te torsy, na prawo i lewo pochylone, prezentują – jak zdarzenie niezwykle i jedynie ważne: włosy ondulowane co trzy lub cztery centymetry fala, nie ma tu przypadku, ani kaprysu. Oto morze blaszane włosów idzie w dół i w górę, idzie rytmem odmierzonym i jak los niezmiennym.

W tych lalkach nawet melancholia była wtłoczona w linie twarde i pełne równowagi: w brwi, wykaliografowane czarną henną; w usta, kredką – marka „Kameleon” – wycyrkowane; w symetryczne dwie plamy różu na policzkach.

A poza ten sztywny ornament linii i płaszczyzn nie przedostawał się ani atom jeden rozwiązał materii ciała. I jeszcze więcej: w twardych konturach leżała oprócz ciała także tak zwana dusza; weszła

bez reszty w sztywny ornament i tylko jedna jej kropla pozostała ruchoma: czarna, szara, brązowa kropla oczu.

Wtedy zaczęła ciężka kropla oczu prezentować wszystkie niuanse drogiego materiału melancholii.

Rozdział o manekinach: ciąg dalszy

Papier jest sztywny i płaski, bez prospektów. Papier jest smutny jak ludzie, którzy nie mogą już nic poradzić na życie; jak biało-niebieskie mleko i jak perkal w wielkie kwiaty różowe.



Drzewo zaś jest smutne, jak tylko nieporadni ludzie być mogą; ludzie nudni, którzy nie umieją żyć z niczego: z powietrza granatowego i samego życia.

Widać ich na ulicy i za witryną fotografa. Po ślubie zamawiają fotografie: po dziesięć sztuk i po dwanaście, dla wszystkich krewnych i sobie na pamiątkę.

Oni wiedzą: życie trzeba odrobić: wszystko, co przystoi życiu i wszystko w przypisanym porządku i swoim czasie. (O tym, kiedy ten czas przychodzi – poucza życie samo, trzeba tylko zdać się na życie).

Ale nigdy nie jest odrobione wszystko: pozostaje zawsze jeszcze śmierć.

Jeszcze kilka gatunków lalek

Dusza żelaza: dusza równolegle biegnących, szczęśliwych szyn. Dusza maszyn skoncentrowanych i klarownych, wspaniałych w bolesnym chodzie śrub i sprężyn. Ludzie o duszy żelaza idą przez miękki i niepewny pejzaż życia, niewplątani w duszne sprawy losu.



Ci zaś, którzy byli podobni do blachy, powtarzali zdanie: niech wszystko tak będzie, jak jest właśnie. Szara blacha jest doświadczona.

Ludzie o duszy porcelany znowu – byli stale zdziwieni i w uśmiechu nieporadności.

Bliskimi porcelany i papieru okazały się przeważnie kobiety. Mężczyźni zaś byli jakby spokrewnieni z żelazem i blachą. Albo z drzewem tęnym i nieporadnym.

Korale, liryczne intermezzo

Porcelanowe manekiny ulic obwieszały się pstrym upierzeniem z koralu. Ponad toczonymi stożkami piersi wzbierał kulisty zgiełk. Szeleścił hałas drzewa, szkła i stali.

Ten zgiełk metaliczny leżał na melancholijnym brzązie materii w faldach; na czerni kontemplatywnej aksamitu i na materiałach zamyślonych marki terakota.

Tymczasem znikły z ulic i witryn czerwone korale, zrywane z rozwiązanych stu żywych, ciepłych ramion. Nie ma także pereł, cichych jak dzień stalowy i szemrzących melancholią szarych mórz. Nowe korale ze szkła i stali są chłodne; jak obca rzecz i jak życie, kiedy już chcemy tego właśnie, co jest.

W zgiełku metalicznym nurzają się kobiety. Tak wgrzebywała się raz Leda w pieszczotliwy puch labędzi; tak wpłatają się kobiety Maksa Ernsta – ślepe, mięsiste i brutalne – w blaszane pióra ptaków, ślepych i monumentalnych, jak idee.

Teraz dawały się pięścić przez chłodne metale i twarde ciche szkło kobiety o chłodnej duszy porcelany.

Czym są aksamitne perły mięsiste, monotonne jak samo życie, kiedy można mieć klejnoty ze szkła, pełnego możliwości, ze szkła, które może być słodką taflą szyby i koralem? Czym są duszne lzy szmaragdów i rubinów o własnym, nieznanym nam bliżej życiu, pełne ciężarów ziemi i jej smutków?

Dwudziestego lutego 1932 roku doniosły gazety o zamknięciu największej w świecie kopalni diamentów w miejscowości Kemberley, Kanada: na skutek złej koniunktury na rynku diamentowym.

Tak wyszło na jaw, że diamenty są niepotrzebne. I że niepotrzebne są aksamitne lzy pereł; szmaragdy i rubiny, które prowadzą zawile bardzo, nam niepodległe życie.

Tymczasem wypełniły sztuczne korale witryny sklepów. Sztuczne korale mogą być wedle tęsknoty każdego z wielu dni życia.

Jablka, pomarańcze i cytryny

Dotychczas nie rozumiano owoców. Widziano w nich miąższ, materię kapryśną, musującą i delikatną (jak z owocowego miąższu utoczone były kobiety Renoira, malowane czerwoną karnacją jablek).

Tymczasem jabłka mają ukrytą duszę. I pomarańcze, przestrzenie kuliste, nie są tym, za co je bierzemy, ani cytryny, istoty z chłodu i szklistego płynu.

Kuliste owoce są w gruncie rzeczy niepodobne do siebie: do dosłowności materii, do jej brutalnej rozwiązłości i nieokreślonych zachceń.

I teraz właśnie odkryto, że błyszczący lakier i thus-ta połyskliwa farba nadają się raczej na ciała owoców, aniżeli materia lepka i miękka. Owoce z farby i lakieru prezentują duszę owoców: słodką kulistość.

Tak okazały się niepotrzebne owoce mięsiste, o ciałach pełnych niepokoju.

A na sztydach sklepowych obok owoców – patrzą okrągłymi kroplami niebieskiego lakieru figury ludzkie. Uśmiechają się niebieską farbą nieba z tych

południ lipcowych, kiedy nawet niebo jest z lakieru twardego i chłodnego.

Tak weszły w życie chłodne i błyszczące owoce lakieru.

Talerze i szklanki

Wtedy też okazało się, że nie rozumiano dotychczas również duszy chłodnych istot ze szkła i porcelany.

Pięć razy dziennie wprowadza się szklanki i talerze w towarzystwo ludzkie, w porządek życia ludzkiego i jego szarego wydarzenia.

W międzyczasie zaś stoją w kredensach; leżą na stole i półkach, czekają na kwadrans, w którym ludzie potrzebują ich chłodnej duszy: słodczy i pełni kulistego konturu.

I nie wiadomo już, czy kontur ten – z kroplą równowagi na oczekaniu – to linia przezroczystej porcelany w powietrzu, czy też może powietrze błękitne i nieskończone samo, które stwardniało w białą kulistość?

W liniach naczynia stołowego zatrzymuje się na chwilę wielka przestrzeń, strząsa chłodny pył swej wielkości, kulistości i idzie dalej, kamienna i tragiczna, ciężka od nowych możliwości.

I na tym może polega ważność bezpretensjonalnego naczynia stołowego i jego los na świecie.

Doszło zaś do skutku to odkrycie w czasie, kiedy powstawała legenda o „geometrycznych zdarzeniach życia”.

Góry, drzewa i morza

Z daleka widziane – są góry jak smutne jabłka granatu i jak sliwy. Są krainą samotną i patetyczną.

Z bliska – to kupy ziemi nieporadnej, obrosłej banalną zielenią drzew.

I rozwiąże jak chwasty gór, rosną drzewa. Pod ostrymi, pełnymi tęsknoty i niezadowolenia kątami, wyrzuca z siebie pion pnia ciężkie, barokowe bryły gałęzi i liści, stopy zieleni i koloru. Drzewa w zieleni wypełniają całą przestrzeń mięsistym, rozwiązłym niepokojem.

Tymczasem płyną niezmiennie rzeki: tysiąc lat; kołyszą się miarowo morza. Morza i rzeki nie rozrastają się jak chwast; nie rozlewają jak glina czy tęsknota, falująca jak bryła zielonego drzewa.

Morze żyje wedle liczby siedem; morze żyje w twardych szarych nieckach ziemi. I jest pełne wszystkim.

I wedle liczby szarego morza i rytmicznego popłochu rzek żyje betonowe morze ulic, i pejzaż betono-

wy murów: roślin o pniach i gałęziach z pionów i elastycznych poziomów.

Pod łagodnym, jakby z życiem pogodzonym kątem, rośnie pejzaż pionu i poziomu; silny, pełny i równowagą prostych kątów nasycony. Szara roślinna murów i okien wypełnia zdarzeniami płaskie pole dni.

W tym pejzażu przylegają do siebie losy ludzi, jak twarde kandy olbrzymiej wielościennej bryły, zachodzą na siebie, przenikają się i rozchodzą – w wylicznych odstępach czasu – nieodwołalnie i niepowrotnie. Jak fale szarych mórz i rzek klarownych.

W tym pejzażu nie ma miejsca na nikomu niepotrzebne ręce i serca.

Tu zawsze ma się co począć z niepotrzebnym sercem i rękami dwiema zbędnymi.

Ale na peryferiach życia...

Gdzieś, na peryferiach życia, można było jeszcze zanotować przestrzenie na jedno, dwa, aż do trzech pięter wysokie. Wieczorami szła taka przestrzeń jedynie na wysokość oświetlonych witryn sklepowych i zamykała się równocześnie ze sklepami o godzinie siódmej, w samym początku granatowej, dusznej nocy.

W kobaltowym mroku dochodziła do głosu jeszcze raz potem: wytryskiwała wokół żółtych szklanych kwiatów latarni. Była wtedy płaskim krążkiem i fatalną możliwością... Pieściła duszną melancholią, nęciła dalekim propektem rzeczy przegranych na zawsze i jakichś spraw odległych, które zawsze mogą się jeszcze stać.

Potem, w płowym dniu, stwierdzano po raz któryś, że szklane kwiaty nocy – to staromodne latarnie z gazoliny, ale dalej czekano na niesłychane spotkania. Tak przemijało tu życie.

W centrum życia

W centrum świata tymczasem szło wszystko wedle dumnego rytmu monotonii. Rosło klasyczne miasto: wspaniałe drzewo pionów i poziomów.

Po brzegi wypełnił się świat szarym chłodem jak drogocenną materią. A życie rozgrywało się bez przekisłych, rudych chwastów pasji i bez tępych mlecznych chwastów tęsknoty. I nie było już odpowiedniejszego wzoru na to życie jak: figura prostokąta.

I nawet przeżycia takie, jak tęsknota, zmęczenie i twarde wyrzeczenie miały swe wzory w szarych figurach: w elipsie, kole i kwadracie.

Tęsknota jest napięta ku czemuś i zamyka się w swym łagodnym łuku eliptycznym; zmęczenie jest pogrążone w swej materii i dlatego pełne gęstej, nieruchomej monotonii, jak koło; a wyrzeczenie jest twarde i jakby raz na zawsze – jak kwadrat.

Znikł ze świata surowy i niekontrolowany ruch: po co przesuwac rzeczy i nogi, skoro w każdym miejscu jest wszystko, co być może? Ulica jest jak

niebo szara i żółta. Potem znów kobaltowa jak niebo. Człowiek czeka. Rzecz szara czeka. Żółte słońce wisi po tej stronie i po drugiej.

I już potem, kiedy skończyło się wszystko, docho-dziła do głosu dusza świata w takim na przykład fakcie: codziennie, jak gdyby nic nie było zaszło w międzyczasie, ustawiała się na ulicach pewna liczba nóg, które wprawiało w ruch zadawnione pytanie: jak żyć? Jak gdyby nic nie było zaszło w międzyczasie.

Tak odkryto duszę świata: nieruchomość.

UPADEK

Tandeta zalewa świat

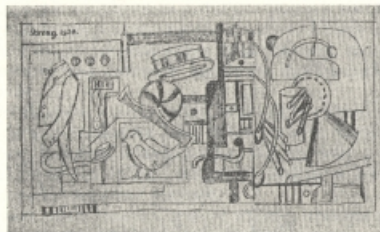
...Aż pojawiły się w handlu sztuczne i tanie produkty. I jak zwykle rzeczy najmniej ważne – były także i te niepozorne wytwory pierwszym znakiem jakichś przemian.

Zalały one rynki, jak czerwone płatki okwitłych kasztanów, zasypujące trotuary i tak, jak natarczywa mdła tęsknota zalewa życie nudnych ludzi.

Z produktami tymi działa się dziwna rzecz: dwoiły się i w nieskończoność mnożyły, jak gdyby zapładniając się nawzajem. Było ich już za wiele na świecie, a przecież mnożyły się dalej, coraz podobniejsze do siebie, z fantastycznością na zamówienie, z prostotą na zamówienie, wedle szablonu.

I nie można było już zahamować wyuzdanej, dzikiej produkcji tandety. Wszystkie produkty na rynku miały jedną cenę: po dziesięć groszy sztuka każdego towaru, sztuka – groszy 10.

A dostać można było: sznurowadła, czarne i brązowe, po 10 groszy para; dziesięć chusteczek do no-



sa – prawdziwa weba – za jednego złotego. Można było dostać: stoliki na kaktusy; z drutu plecione podstawki na żelazka; przyrządy do szybkiego i pewnego zawiązywania krawatów; przyrządy do prędkiego nawlekania igieł; do ondulacji – cała ondulacja w minutach pięciu; a ponad wszystkim: tanga: „Rebeka”, „twoja miłość”, „jesienne róże”, „mówisz, że kochasz mnie”... tylko za jedyne 10 groszy.

A towar ten kolportowano z taką powagą gorzką i z takim patosem plomiennym, że tandeta zdawała się odgrywać jedyną rolę w życiu, niezastąpioną. Świat stał po prostu na dobrze zesznurowanych trzewikach, czarnych i brązowych.

Pod łózkami właśnie co zmarłych ludzi stały prawie chodzące jeszcze buciki, buciki czarne, buciki brązowe.

Perkale wzbierają...

A po magazynach z konfekcją piętrzyły się stopy tanich perkali, cienkich, o wzorach w wielkie kwiaty lub pasy. Wzory te utrzymane były w wulgarnych i równocześnie bajkowych kolorach, jak: kalinowa czerwień, fiolet i trawiaста zieleń; lub: błękit, czerwień georginii i pomarańczy.

Perkale te były sztywne i suche, bez mięszu. Czasem niezgrabnie próbowały czegoś innego: próbowały upodobnić się do miękkich jedwabi albo mięsistych aksamitów, ale nawet połysk ich był płaski i sztywny, bez życia.

A jeszcze sztywniejsze były szewioty: łamały się ostrymi kantami, rozsypywały się po prostu na kanciaste płaszczyzny. I żadna farba nie trzymała się sztywnych nici materiału, aby uczynić go elastycznym słodką rozwiązłością, lub chłodnym zamysleniem koloru. Każda farba odskakiwała od tych szewiotów, jak suche wapno, i stąd brał się ich smutny i niewyraźny wygląd.

Zupełnie wyszły teraz z obiegu: aksamit soczysty, jedwab falujący i pieszczotliwe sukno. Znikły dalej kolory takie, jak elastyczny brąz jesienny, chłodna i fantastyczna czerwień koralowa; słodka stalowa szarość.

Do sklepów z materiałami wchodziły całymi gromadami porcelanowe lalki kobiece z ulic. Popychając się, hałaśliwe i szeleszczące, wykupywały z niesłychanym pośpiechem wszystkie perkale w kwiaty i wszystkie szewioty pasiaste.

Świat zalała tandeta, stwory wtórne, uboczne produkty rzeczy chłodnych i skompromowanych; maski skrzywione, które oderwały się od swego wzoru i postanowiły prowadzić samodzielnie; lekkie i nie zobowiązujące do niczego życie.

Tak zalała całe życie tandeta: karykatura świata pionów i poziomów, który umiał być słodki jak szarość październikowa, lub patetyczny i wyniosły jak odejście i jak jedno zdarzenie na całe życie.

Intermezzo: kawa

A w dalekiej Brazylii, na Jawie i Sumatrze spychano w kobaltowe morze miliony kilogramów kawy, trzy miliony dziewięćset tysięcy kilogramów w roku 1932.

W kilometrowych polach brunatnych z miedzianym krążkiem w powietrzu – twardnieją szare owalne ciałka kawy. W nich leży ciecz aksamitna, gorzka jak szary dzień październikowy i otoczona zawsze zapachem obcych miast, w których widać, jak po raz pierwszy, chodzenie.

Kawę pije się w wieczory szare o żółtych światłach i wieczory, kiedy znowu coś przepadło. Ale kawy nie piją ani Murzyni Brazylii i Kalifornii. Ani biali z fabryk Europy. Kawę piją liczone tysiące na całym świecie między stalowymi morzami północy a kobaltowymi wodami południa. Więc po co kilometry całe krzaku, który może być jak człowiek niepotrzebny?

Ale kawa nie jest chwastem, natarczywym i przerosłym. Kawa – to miliony twardych, regularnych

owali aromatu – to figury słodkiej elipsy. Tych kropel owalu nie można traktować jak chwast zwykły i dlatego pieści się je mdlejącymi dłońmi Murzynów, by potem w podarunku dać morzu kobaltowemu.

Kawę trzeba utrzymać na świetle.

Upadku dalszy rozdział: szuka się przygód...

Naraz zaczęło się to znowu: zaczęto szukać przygód na ulicach miasta. Szukano spotkań niemądrych, i znowu jedynie ważnych; chciano znowu być tylko dla kogoś; czekano na losy niezwykle: z powrotem miała wrócić cała banalna, mięsista „kolorowość życia”.

Wtedy zrehabilitowano pewien gatunek ludzi, nieaktualnych jakby w epoce heroicznej szarości: ludzi zajętych ustawicznym poszukiwaniem szczęścia; takich o „złamanym życiu” i takich, którzy nie „umieją żyć bez ludzi”, nawet na długość wieczoru. (W ich życiu nic nie znaczyły doświadczenia; nie spełniały swej roli rozczarowania, które są na to, by zdemaskować „szczęście”).

W ich życiu kiśła jedna jakaś sprawa jak ciasto wyuzdane i niedobre; aż stawał się taki człowiek podobny do jadowitego chwastu, przerosłego i natrętnego, i wobec wszystkich wyrzucał z siebie bezcere-

monialnie przekisłe łodygi i pnące swej historii i lepkie liście „przeżyć”.

Tacy ludzie weszli z powrotem w obieg.

I naraz siedzą znowu przy stołach i ścianach sztywni panowie w czerni i melonikach i damy elastyczne o smutnych taliach wydłużonych. I znowu wyczekuje się dnia, w którym „wszystko jeszcze stać się może”.

Tu i tam plątały się jeszcze po świecie: szary kolor, twarde postanowienie, los wyrzeczenia; ale rzeczy te i sprawy budziły teraz już tylko czułość swą nieporadnością wśród chęci lepkich i przelewających się jak ciasto.

W ich miejsce wszedł z powrotem w życie cały niepotrzebny balast gestów bezcelowych i zaokrąglonych, które naśladowały szare, heroiczne gesty życia.

Ale ruchy te i sytuacje były lekkie jak balony kolorowe i nieodpowiedzialne: z takimi zdarzeniami nie można się nawet liczyć, chociaż podobne są do dziwnej przygody życia.

AKACJE KWITNĄ...

Koło zamyka się

I wszystko, co teraz przyszło, stąd się wzięło, że takie doskonałe i nieruchome, takie raz na zawsze, stało się życie.

Okazało się, że ludzie nie mogą długo znieść heroicznego monotonii. Zbyt tragiczny był szary ornament dni, pozbawionych czekania i wspomnień.

Za skończone było wszystko i za planowe, i nie było więcej co robić na świecie. Surowe sprawy stały się znów potrzebne.

Gdzieś czekały surowce. Ciężkie, soczyste, żrące.

W tropikalnych brązowych krainach. W piasku gorącym Kalifornii. W górach szarego Uralu i Skandynawii o mgłach gęstych, jak paki zakwitających i przesłaniających wszystko płatkami szarego welonu.

Gdzieś czekały losy. Kolorowe, niemądre, a przecież jedynie ważne.

A tam, gdzie uboga i płaska ziemia nie mogła wydobyc z siebie dużo fantastyczności – tam czekały:

lepka glina, piasek pośny i bezkolorowy szuter. A chociaż niewyraźne i bez wszelkich możliwości – były i te materiały jak zdarzenie.

W ukryciu czekały sprawy nieznanne i znowu przyrzekały wszystko, jak po raz pierwszy. I wrócono do „życia”.

Akacje kwitną...

Naraz rozkwitły w rynku akacje. Wypełniły potem wszystkie ulice smutnym zapachem rzeczy możliwych, które się nie stały.

Był właśnie czerwiec, jeden z trzech miesięcy o lepkich zapachach, które gubią ręce nasze i nasze serca. Liście były mięsiste i bardzo zielone. Zielone ciało liści wypełniało całe okna i dni całe.

Dolączyły się potem lipy, pachnące wszystkim: bezimienna jest historia takich kwitnień.

Tak zaczął się znowu czas wielkich i ważnych wydarzeń: zająć smutnych i fatalnych o skądinąd niezrozumiałej ważności. To są owe „spotkania fatalne”, „miłości nieszczęśliwe”; smutne szczęście – nieosiągalne – a jednak „szczęście”. I znowu kwitną akacje.

Takie zdarzenia wciągają w okolice, skąd nie można już wrócić tak łatwo; gdzie wszystkie możliwości leżą wielkimi stosami, jak liście na jednej gałęzi i kwiaty; gdzie latarnie są – „kwiatami szklanymi”

lub „owocami ze szkła”; a szara skóra wieczoru jest jak niebieska atmosfera obcych miast.

W tych okolicach jest nieznanne szczęście. Tam zaplątuje się człowiek w ludzi i nie może już żyć więcej bez nich i nie może żyć już z nimi.

Jesienne rozmowy

Potem przyszły miesiące płowych słońc i miedzianych liści.

W bladych ulicach zalatywało gorzkością smażonych konfitur i liścianego zapachu.

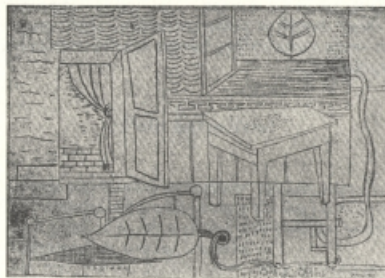
A zapach ten przypominał w dziwny sposób uregulowane losy i życia uporządkowane.

Potem zaczęła się seria rozmów bez końca, niezrozumiałych, jak „samo życie”.

Odnosiły się te rozmowy do liści jesiennych, które potrzebują szarych deszczów i słodkich cichych mgieł na to, by mogły żółknąć; miały za temat owe słodkie deszcze szare i już słabe liście, owijające sobą zielonawe jeszcze i już słabe liście, aż one kurczą się pod smutkiem szarych mgieł.

Wtedy też zwrócono uwagę na niezwykle, a dotychczas pomijane sprawy; że na przykład te same liście są w szarej mgle jeszcze zielone, ale czerwono-rdzawe w chromowym świetle południa; że szare mury bieleją od ciszy na oliwianym morzu nieba

i że są lekkie, jak kartony puszystego papieru z prostokątami celuloиду w dni o niebieskim niebie; i jak naśladowujące jedynie mury z betonu.



A rozmowy te zastępowały niedwuznacznie delikatne i bardzo ważne sprawy, które miały być teraz właśnie i nieodwołalnie zalatwione: wyznania miłosne i wyjaśnienia; niezrozumiałe szczęścia; i tę nigdy niezalutowaną sprawę: jak żyć?

I właściwie nic nie robiono. A wydawało się, że robi się dużo: wszystko, co osiągnąć można w życiu.

I naraz czują się ludzie odpowiedzialni za życie: to dzieje się z nimi rzecz podobna, jak sprawa z liśćmi, które wydają teraz twarde i jakby odpowiedzialny zapach.

I tak zaczyna się to znowu: z życia przychodzą rzeczy i losy. Rozprzestrzeniają się szczegółami różnych sytuacji, oczekiwaniem i rozczarowaniem; narastają nieoczekiwanym sensem i okrągłością.

Tak zrehabilitowano życie: słodką tandetę, która zaczyna się – od zawsze – od „serca złamanego”, a kończy twardym postanowieniem: „żyć”, nazywanym wedle staromodnej, bardzo zużytej terminologii: rezygnacja.

Pola kartoflane

Małymi sztywnymi kwiatkami pachną kartofle.

Lila i białe pola kartofli pachną słodko i nieco surowo, jak glina. I są jak z perkalu sztywnego w drobne, roztargnione trochę, kwiatki.

I tak jest dobrze, że lila i białe lany kartofli pachną perkalową nudą. I że zdarzenia i surowce są nudą napęczniałe.

Na całym świecie czeka lepki materiał nudy; czeka na swój los. Jak miedź fantastyczna i jak żelazo soczyste i jak zwyczajny, dosłowny materiał gliny, z której można ulepić człowieka.

Lepki surowiec życia czeka na swój los: jeszcze jest co zrobić na świecie.

Tylko podjąć trzeba życie, które leży wszędzie wielkimi stosami i narasta.

Narasta: jak księżyc przybierający. Przybiera od soków chwastowych i przekisających, biorących się nie wiedzieć skąd: z powietrza błękitnego? Ze spotkań banalnych? Z dni i rzeczy przepadłych?

Budowa stacji kolejowej
1931

I.

Jest ogromnie dużo przestrzeni w świecie. Przestrzeni niepotrzebnej, nieporadnej.

O, przestrzenie płaskie, powolne. Nudne jak ługiem szorowana, wielka podłoga z desek; jak krągły krajobraz kalendarzowej niedzieli z ludźmi, którzy zapodziali gdzieś, na kilka godzin, swój los. I spacerują.

I przestrzenie nudne jak ludzie ze straconym życiem. Przestrzenie ciężkie: jak życie bez losu.

Przestrzenie, które wyciskają wielkie, puste lzy. I są dla nikogo.

Za dużo przestrzeni jest na świecie. Trzeba coś począć z pałubiąstą przestrzenią świata.

2.

Kawalek pola, w którym stanie nowa stacja kolejowa, jest oblepiony na razie bodiakami lila i żółtym jaskrem.

Jaskier i bodiaki pachną słodkawą nudą perkalu, bali białego perkalu i perkalu kwiecistego.

Przestrzeń pachnącą perkalem w wielkie czerwone kwiaty idą nogi. Nogi w trzewikach czarnych i żółtych; nogi śpieszne i ziemię odpychające; nogi opite słodyczą ziemi i ciężkie jak szczęście.

Co one robią w przestrzeni? Och, trzeba skrócić o część trzecią, skrócić na połowę niepotrzebną długość świata. Ale kroki włoką tylko dalej – włoką o pół metra dalej kulisty ciężar świata, lysą materię świata z przegraną sprawą życia i niewiadomą drugą sprawą śmierci.

Stańmy w miejscu. Jak drzewa.

Drzewa nic nie wiedzą o lęku i nic o śmierci.

Drzewa żyją jak wśród czterech ścian; jak w pomniejszonej przestrzeni ulicy czy pokoju.

Budujmy ulice i domy. Ludziom potrzebne są ulice. Ludziom potrzebne są ściany. I okna i balkony.

Budujmy stacje. Stacje o szynach równoległych, o szynach świat obejmujących. Stacje dzielą cały świat na sztreki.

W polu z żółtym nudnym jaskrem i wodnistymi bodiakami lila nie ma jeszcze szyn. Nie ma ścian. Nie ma balkonów i okien.

3.

Na trzy kilometry odległości od budowy leży ziemia. Niepotrzebna, pasożytująca, dzika ziemia.

Rośnie rozwiązłe jak chwast; wielkimi gromadami, które nazywają się: góry. Nikomu niepotrzebna, do niczego nieprzynależna ziemia.

A tu, gdzie ma być stacja, jest tylko krzywe, wychudłe pole z żółtym jaskrem i lila bodiakami i nie ma gęstej czarnej ziemi na szkarpy. Trzeba więc przesuwać kubiki całe brązowej i czarnej, nic nie mówiącej ziemi tam, gdzie może stać się potrzebna.

Kto powiedział, że jest w tym jakiś sens? Po co przesuwać rzecz z jednego miejsca w drugie? Co dzieje się w ogóle w świecie, kiedy przesuujemy codziennie tyle a tyle rzeczy?

Ale tu nikt nie pyta. Ludzie wloką niecki żelazne, naładowane ziemią brązową i czarną. Ludzie są wolami, są końmi i wielbłądami.

Ludzie pieszczą całą skórą ciała rozżarzone żelazo wózków i ziemię lekko rozciąglą. Ludzie biorą i kła-

dą, delikatnie i pieszczotliwie, na chude pole z żółtym jaskrem ziemię, lepłącą się do nieba i do ciała. Lekko, tanecznie toczą się niecki żelazne z ziemią brązową i czarną.

A skóra nagich trapezów pleców polyskuje brązowo jak pachnąca kora drzewna. I brązowe, krzywe korzenie ramion i rąk wydzierają się z żółtej gliny powietrza i chwytają rozżarzonych kołosek z żelaza, jak jedynej i ostatniej rzeczy w życiu.

Upał jest jak kora brązowy. Upał jest na stopni 40 i więcej. A w kawalku pola o perkalowych kwiatuskach nie ma nic – tylko żelazne kołyski ziemi. One są jak szczęście, największe, które jest zawsze największym nieszczęściem życia. Są jak los, na który czekamy. I jak płaskie misy na starych egip-



skich reliefach, pełne drogocЕННОści dla zwycięzcy albo boga.

50 000 kubików ziemi zwieziono na budowę nowej stacji.

Potem wnoszą się przed stacją ogromne ciała trapezowe z ziemi brunatnej i czarnej ziemi, którą wleczono przez długie trzy kilometry aż tutaj.

A taśma i metr wypróbują i szacują duszę trapezowych ciał ziemi, wstawionych przez ludzi w nieodpowiedzialny kawał pola ze słodko perkalowymi kwiatkami. Zaś ludzie wygładzają każdy niepotrzebny centymetr kubiczny nasypów; polerują jak szkło i jak delikatny koral lamliwy, polerują brunatną i lepką, tępą i nic nie mówiącą ziemię.

Ten kawał przestrzeni nieporadnej, do niedawna jeszcze oblepiony żółtym jaskrem i bodiakami – staje się potem państwem twardych szkarp i szyn fantastycznych. Wtedy może dać elastyczność zmęczonym rękóm i nogóm, które nie mają dokąd iść.

Tak kończy się rozdział o surowcu ziemi i jej los przy budowie stacji kolejowej.

4.

Kierownik robót ziemnych:

On jest kierownikiem robót ziemnych. On nie nazywa się więcej szczegółowym imieniem. Imię jest tu nieważne.

On kontroluje. On zlicza szychty. On popędza.

Dalej ludziska... dalej... dalej...

Każde dziesięć minut – kilometr drogi. Co pół godziny – szychta. Czasem – to nawet na 20 minut idzie jedna szychta.

I co godziny prawie narasta nowy kawał fosy i nowy szmat nasypu.

Szybko... szybko... szybciej pędz...

Jak piana morska lekko i tanecznie toczą się wózki żelazne, naladowane ziemią gliniastą i lepką; jak lży ciężką ziemią. Jak przezroczysta piana morska – tak lekko.

To szkarpy, teraz jeszcze dziki kawał pola, czekają na miarę i taśmę. I fantastyczne ornamenty szyn z żelaza elastycznego czekają na bieg po przestrzeni

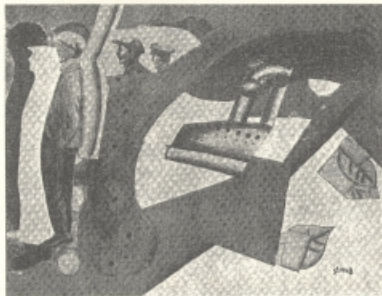
powolnej, na kulisty bieg chłodnych dwu równoległych linii. I mury tęsknią do pionu.

To one każą popędzać, przynaglać, szpik z kości wyciskać, aż ludzie czernieją, podobni do wyschłej kory drzewnej i jak w troscie, która może się ciągnąć już aż do śmierci.

O, z pół perkalem pachnących wydobyć fosy aksamitne, pionem i poziomem ścian błyszczące! I ulice: ornamenti z motywem szarości, ornamenti z motywem słodkiej melancholii.

Nie każdy to zrozumie; szkarpy i szosy mogą być jak los, który zdarza się raz jeden w całym życiu. Każda ściana szkarpy i kant każdej fosy zapala się jak kolorowa przygoda w nudnym polu z bodiakami lila.

Gładkie jak aksamit mają być szkarpy, i jak szary dzień w miesiącu październiku aksamitne. Elastycz-



ne jak tęsknota – szyny; twarde jak tragiczne postanowienie – szare mury.

I przychodzi tak, że skóra rąk czekających, skóra całego ciała i aksamitna skóra fosy wzbierają dreszczem, kiedy zetkną się raz przypadkiem.

Pierwsza szychta... druga... dwudziesta trzecia... 40 stopni gorąca, 8 godzin pracy i dwadzieścia trzy szychty...

Co 20 minut szychta: rekord! Rzadki rekord.

W polu z lila bodiakami wyrastają szkarpy; wykwitają nasypy; wypełnia się świat fos połyskujących i szyn twardych nie do zgięcia, jak rzeka twarda i jak tragiczne postanowienie.

Wśród świata fos i szyn faluje olbrzymi brzuch; przerasta sam siebie, jak ogromny, kulisty, szorstki chwast.

Świat pionów i poziomów i szycht wózków z ziemią wzbiera monumentalnie dookoła ciała ludzkiego, ciężkiego, jak żółta, wodą przemieszana, glina.

5.

Jest osobny świat surowców. Świat materiałów tłustych, lepkich, gryzących.

Czas jest takim surowcem: klajstrowaty, brudny, rozwiązły surowiec.

Czas jest ociężałym ciałem nudy i ciałem monotonii. Inżynier zajęty przy budowie stacji, każdy inżynier, przerabia surowce. I wstrętą materię czasu. Wtedy powstają mury, ulice i pasaże.

Dni innych ludzi rozkruszone są na mieniące się krople spotkań, na piasek kolorowy słów. I jak z niczego są kolorowe wazy spotkań i losów.

Inaczej świat chłodnych pionów i poziomów. One są stale. One czynią przestrzeń pewną. I są jak z wszystkiego: jak blok rezygnacji, który jest z wszystkiego.

Całkiem powoli rośnie pion i poziom. Całkiem powoli rosną mury i rozrasta się jak lepki liść łopuchu, wzbiera, kulista szarość powolności: każda cegła długo jest do drugiej przymierzana i każda szychta

cegieł do drugiej; aksamitem cierpliwego wapna wylepiana i długo pieszczona.

Cegły są wszystkie jednakowe. Cegły – to kuby, kolorowane na czerwono.

Cegły mają wszystkie 27 na 13 na 6 centymetrów miary.

Z cegieł rosną mury. Mury narastające znają tylko dwie tęsknoty: w górę, w kierunku żółtej kuli słońca; jak drzewa i trawy; i w dół, dokąd idą ciężary, wszystkie rzeczy zmęczone i ręce nasze, kiedy wszystko już w życiu przepadło.

Te dwie tęsknoty pionu są stale: jak słońce, ciemność i jak życie.

Powolność niegotowych murów nazywa się: nuda. Ten gatunek nudy mają w sobie drzewa, trawy i życie. Również ludzie, mający do czynienia ze światem powolnych materii. (Z wszystkich figur geometrycznych reprezentuje ten gatunek życia prostokąt: w nim powtarza się słodycz kwadratu i każdego tygodnia i stąd bierze się jego wydłużenie.)

Tę duszę powolnych murów ma w sobie inżynier. Duszę wiecznego pionu.

Na peryferiach takiego rośnięcia dni są jak bez losu; marginesowe i nieodpowiedzialne; bez wagi, do pustych cegieł je przyrównać.

A wszystko, co się w nich dzieje, może być tym lub czymś całkiem innym.

6.

Jest osobny świat surowców.

Świat materii tłustych, rozwiązanych, palubiastych.

Surowce czekają na swój los.

Leżą po całym świecie w gromadach ogromnych.
Jak chwasty. Lepkie, gryzące, wyuzdane i z ciągłego
czekania ciężkie na cetrnary.

Surowce chcą być liczbą i figurą. Surowce czekają
na miarę i kontury: to ich przeznaczenie i los.

Ciało surowców grube jest i nieporadne: kawał
szarego ciężaru ogromnego, który do lez doprowa-
dza, jak wielka, żółtym ługiem szorowana, podłoga
i jak życie bez losu.

Ale dusza surowców jest delikatna bardzo i fantas-
tyczna. Trzeba tylko wydobyć ukrytą duszę materii.

Jest glina lepka i w życiu zatracona.

Cement szary, gryzący i jak z niczego.

Aksamitne wapno, pełne cierpliwości.

Blacha doświadczona i smutna, jak człowiek, któ-
ry już mówi: niech to będzie w życiu, co jest właśnie.

I żelazo twarde, jak tragiczne losy.
Na wszystkich budowach można odkryć ukrytą
formułę ich duszy.



7.

Glina. Glina jest ciężka i nieporadna. Jak szczęście lub jak nieszczęście. Gliniastozólty to kolor przegranych spraw, jak cytrynowy jest chłodnej rezygnacji kolorem. My jesteśmy z gliny: raz jeden w ruch wprawione dwie nasze nogi i ręce spadają potem po sto razy i po tysiąc razy w jedno miejsce i to samo; jedna rzecz w naszym życiu przegrana – i już całe życie jest przegrane.

Z lepkiego surowca gliny palą cegły; kuby kanciarów, wedle miary i liczby: 27 na 13 na 6 centymetrów wielkości, których czerwień jest twardą i nieco sztywną czerwienią.

Cegły są klarowne i pełne szklanego dźwięku; twarde i zdecydowane; jak zajęci ludzie: rzeczowi ludzie, których chciałoby się porównać do sztywnego kwiatu, krągłej, czerwonej georginii.

Cegły są zupełnie niepodobne do gliny: cegły są klarowną i przeźroczystą duszą ciastowatego, rozwiązłego, beznadziejnego ciała gliny.

8.

Beton. Beton miesza się z cementu śliskiego i szarego, zabłąkanego odłamka monotonii.

Dalej przychodzi szuter, ciało nieporadne i smutne, jak kuchenna kasza.

Także woda, która spaja puste ziarna szutru, piasku i cementu, także woda jest bezkolorowa i niepodobna do niczego.

Więc beton musi być nudny, jak szczęście zużyte. Kiedy się widzi beton – lzy przychodzą.

Takie jest ciało. Ale dusza betonu jest, jak zwykle, delikatna bardzo i fantastyczna:

Ponad kulistą ziemią wiszą betonowe stropy: jeden, dwa, setki i tysiące stropów; idą ulice z pasażami i trotuarami z betonu. W ulicach mury białe i szare są dumnym drzewem z betonu. I pełne jest miasto szarej materii, która boli, jak nieskończone płaskie pola z lila bodiakami. I jak życie całe.

Jest aksamitny dzień w miesiącu październiku. Niebo jest bezimiennie niebieskie, jak tylko wtedy,

kiedy wszystko już jest stracone. A liście są miedziane i jak miedź melancholią elastyczne. Prospekt zaś, mury i trotuary są szare, jak wieczory o bladych latarniach.

Szarość betonu. Miedź liści. Nienazwana niebieskość nieba.

I sprawa szarości, miedzianości i nieba, w owalnym salonie jesieni rozegrana.

Zaczyna się ona tak: kolor płótna niebieskiego, kolor wszystkich możliwych jeszcze spraw, wyklada ulice i wtedy może się jeszcze wszystko stać.

A kiedy nikt nie przychodzi – wtedy spada na ludzi melancholia, dużymi, kolorowymi, liśćmi przegranych spraw. Z drzew spadają wtedy miedziane, przeciągle pachnące, liście. Jak gdyby duszę zasypała miedź.

Oparta o beton murów i trotuarów czeka szarość. Przegląda się w prospekcie, jak w morzu wielkim i smutnym.

Beton jest nudny i jak chwast gryzący. Ale szarość potrzebuje betonu. Szarość października nie może żyć bez betonu murów, sklepień i trotuarów.

Szarość pachnie, jak chodzenie. Rdzawe liście pachną życiem. Wtedy widać naraz, i jak po raz pierwszy, czerwony prostokąt tramwaju, jak plynie i świeci cynobrem gorącym. I wtedy nie ma niczego w długich ulicach; jest tylko ten prostokąt cynobru. Szeleszcząca miedź w szarości jest gęsta od spraw życia.

Jaka zuchwała i banalna jest zieleń soczysta letnich drzew: reklama cyniczna starych mebli, wywieziona w patetycznym krajobrazie szarej stali. I narzeczywa jest ta zieleń, jak człowiek bez losu.

I wychodzi na to, iż jedynie melancholijna miedź nadaje się na liście w pejzażu szarych roślin – murów.

Szarość jest potrzebna do życia. Szarość żyć nie może bez betonu. I tak staje się, że w październikowych ulicach nie jest już beton ciężarem i nieporadną istotą, której widok boli, jak pole z perkalowymi kwiatkami. Oto w mieście znaleziono fantastyczną duszę betonu, formułę jego ukrytego życia: ulice, mury i pasaże.

Przy budowie stacji kolejowej znaleziono również formułę jego życia. Na wszystkich budowach można ją odnaleźć.

9.

Smutna blacha dachu.

Wielkie ciche tafle szkła w oknach.

Kafle piecowe zadziwione: zielone, żółte, czerwone kwadraty kafli.

I kanciaste deski podłóg i futryn.

To wszystko wypełnia równowagą niepewną jeszcze duszę perkalowych pól: jak pierwsze sprząty wypełniają pokoje, zanoszące jeszcze pustą mokrością świeżych farb; jak pierwsza przygoda i ciężar losu daje stałość kulistym pokojom czasu.

Potem, kiedy już są pokoje – czekają pokoje swego losu: mebli. Czekają na poziomych stołów i kredensów, na pion krzeseł i szaf.

I coraz gęściej będzie rosta dziwaczna roślina z linii poziomym i pionem; geometryczne drzewo z płaszczyzn i konturów, ścian i mebli, proporcjonalne i klasyczne.

Aż bez reszty wypełni to miejsce przeznaczone na perkalowe kwiatki lila. I dopiero wtedy świat stanie

się kulisty; dopiero świat rzeczy gotowych, skoncentrowanych i miarą wypieszczonych jest kulisty. I jak kula monumentalny i doskonały.

Teraz można już objąć go twardą pieszczotą szyn polyskujących: soczystą szarością chodu, jednego na wiele dni życia.

Pierwszy dzień. Drugi. Siódmy.

10.

A kiedy wszystko już jest gotowe i wykończone w perkalikowym polu z niepewnymi kwiatkami lila i koloru maślanego – przychodzi rozdział szklanej melodii życia.

Rzeczy gotowe i sprawy zakończone dzwonią szkłem i melancholią. Wszystko, co ma stałe kontury i postać prostokąta lub kubu, jest szare od smutku; gdyż jest już raz na zawsze.

Dlatego zanoszą szklaną melancholią suknie poszyte po szafach; meble z mahoniowego drzewa tęskniącego, przy ścianach poustawiane; losy osiągnięte i życie doświadczonych ludzi.

W gotowej stacji dźwięczą melancholią: mury już nieruchome, które osiągnęły miarę przepisaną; szkarpy, metrem wygładzone; szyny doskonałe równoległe, w zaokrągleniach i lukach również; i dusze ludzi, którym chude miejsce, przeznaczone na lila bodiaki i jaskier, było losem na przeciąg trzech miesięcy.

Od teraz nie przyjdzie już nic więcej w przestrzeni z tanią wegetacją: tu przerobiono perkalikową nudę życia: nieporadne i monotonne ciało materiałów; tu znaleziono ukrytą duszę czasu, lepkiego ciała monotonii: twarde rzeczy, zdarzenia i szczęście.

A za tydzień, albo za miesiąc zaczną nową stacją przejeżdżać polyskujące wagony. Zatrzymają się na krótko, przenosząc ludzi z jednego miejsca w drugie, jak ziemię nikomu niepotrzebną tam, gdzie się staje potrzebna. (Ludzie stale i od zawsze czekają na swój los: jak materie ociężałe i tłuste.)

Te wagony są na milimetr jednakowe. Tak fantazycznie jednakowe, jak być mogą tylko liczby. I szarość.

A w końcu wychodzi na to, że monotonia jest losem i przeznaczeniem, na które ludzie czekają życie całe. Od ciągłego czekania na cetnary ciężcy i płci nieporadności: podobni i w tym surowcom i materiom grubym.

Oto krótki rozdział w historii tęsknoty ludzkiej do liczby i monotonii.

II.

Pochwała surowcom szorstkim, lepkiem, tłustym.
Im wszystkim, rozrzuconym po całym świecie, jak
mdłe chwasty i czekającym swej historii i losu.

Pochwała polom nieobliczalnym, nieodpowiedzial-
nym polom o perkalowej wegetacji lila, o wielkich
łopuchowych liściach nudy.

Pochwała życiu, które jest jak wielki, chwastowy,
liść nudy i jak surowa bryła tłustej gliny i gryzącego
cementu.

Z nich pochodzą rzeczy, polyskujące gładkością
i miarą; rzeczy pachnące świeżą twardością, ela-
stycznością metali i chodzenia.

Skończona stacja kolejowa mówi pochwałę wszyst-
kim wyuzdanym, ciastowatym i jak nuda rozwią-
złym surowcom; wszystkim materiom, użytym na
budowę.

Jest miesiąc listopad i budowa stacji kolejowej do-
biegła końca.

Z utworów późniejszych

Przełożyła z jidysz Karolina Szymaniak

Powieść w montażach (fragmenty)

1. Następuje to zawsze na początku listopada.

Słodko wyciągnięte do swej połowy życie w delikatny listopadowy wieczór określają: niebieska, jak mury gładka, szarość; już zapalone ciepłe światła i wspomnienie rozczarowań, które pomagają w niezrozumiały sposób ustalić, że w życiu w zasadzie nic się nie traci.

Jest to czas zdarzeń niepozornych, które naraz stały się ważne: czas kolorów miękkich i szarych, sklepów, wypełnionych aż po brzegi łagodnym zgiefkiem życia i włosów pachnących, złotych i kasztanowych, czas krągłych spacerów niezliczonych.

Szczęście przychodzi wtedy jak do wieczora przynależne. I do wieczora należy łagodne piękno chodzenia. I niebo bursztynowe. I blok nadziei. Życie jest wtedy pełne znaczenia.

Warto być doskonałym dla wieczora: jak dla człowieka.

W takie aksamitne listopadowe wieczory można zacząć życie od nowa. I właśnie w taki wieczór zaczy-

na się teraz nowa seria życia: życie odpowiedzialne i zawsze szare; i życie zawsze marginesowe, wstydlive nieważne i skrycie słodkie.

Jest listopad, 1934 roku.

2. Soir de Paris

Etykieta perfum, wody kwiatowej i pudru marki „Soir de Paris” (firma „Bourjois”, Paris-Varsovie) ma kształt prostokąta, dokładnie w połowie podzielonego na dwa przyległe do siebie trójkąty. Jeden trójkąt jest według koloru granatowy jak nocne niebo, drugi jest koloru srebrnego, koloru dalekich gwiazd.



Trójkąt koloru gwiazd został zbanalizowany przez napis: anons marki, firmy i gatunek produktu. Całkiem inaczej ciemny trójkąt koloru nocnego nieba. On jest całkowicie wyzyskany i całkiem doskonały:

by prezentować zdarzenia, całą serię cudownych przypadków życia.

Następująca scena przesuwa się tu z góry na dół: najpierw przychodzi pozująca modelka, później policjant, który kieruje ruchem na kulistym Place Concorde, ruch odbywa się wokół sklepienia z marmurowego szkła; i dalej znowu – naga kobieta o klasycznych proporcjach; a na koniec szklany obelisk i profil Izby Deputowanych w Paryżu.

Metropolia, rankami cała z niebieskiej szarości, składa się teraz z: koloru granatu (niebieski z etykiety perfum; niebieski kobiecych sukien: wszystkie kobiece suknie pachną wieczorem niebieskością; głęboki błękit nieuchwytnych postanowień i widoków).

Dalej idzie srebrny: (srebro gwiazd; srebro etykiet „Soir de Paris”, srebro tęsknot, skropionych czekaniem i rozczarowaniem każdego wieczora z osobna).

I do tych kolorów dochodzi jeszcze wieczorna, pochyliwa barwa życia, które jeszcze nie może zapomnieć o rzeczach przeszłych, i jest jakby zaplątana w głęboko zagubione uliczki i place i nieobecna we wszystkim.

Także wąską Rue de Seine opada w tym czasie zmierzch. Sprawia, że ta fantastyczna wąska uliczka staje się jeszcze węższa niż w rzeczywistości i wpada przez sklepiony mur wprost do zielonej Sekwany.

Tą Rue de Seine przechodzą kobiety o niewiarygodnie wąskich taliach. Są jak wycięte z magazynu mody i jakby nie mogły wydarzyć się w życiu niezależnie od tych kolorowych magazynów. I przechodzą panowie w jasnych paltach, w melonikach, z policzkami gładkimi i różowymi jak mężczy modele z wystawy fryzjerskiej.

Damy z taliami wąskimi i smutnymi, sztywni panowie z porcelanowymi twarzami – zatrzymują się przed się przed sklepami: oglądają „życie”.

Szczególnie długo zatrzymuje wszystkich witryna, gdzie „Ford” i „Citroën” prezentują swoje szlachetne, szare i długie limuzyny. I wszystkim niezwykle podobna się nazwa „limuzyna” – jej dźwięk płynący.

Jest szary wieczór listopadowy. W taki wieczór wszyscy ludzie szykują się do życia: każde chodzenie jest obliczone na coś, co ma przyjść i słodki staje się nawet czas, który jeszcze się tak nie liczy.

W tej samej godzinie występują mieszkania, które nie biorą udziału w życiu (każdej godzinie przynależne są takie mieszkania).

W jednym takim mieszkaniu, w świeżo wyszorowanej kuchni, ulica Karmelicka, numer osiemnasty, panna służebna pije kawę. Pije z wielkiego półlitrowego kubka. Kubek jest z fajansu i ozdobiony kolorowym pasem, szerokim na trzy centymetry, ornament składa się z drobnych i sztywnych czerwonych kwiatków.

Wedle zwykłego biegu rzeczy dziewczyna powinna się teraz szykować na spacer umówiony; na kolorowy wieczór w kinie, gdzie nigdy się nie kończy okragły, wartki, potoczysty ruch życia; na dancing, gdzie ciała mieszają się z soczystym materiałem w smutku tanga (jest ona rozmarzoną blondynką, z wielkimi, szarymi oczami fantazji).

Kobiety o stalowych czarnych oczach.

Na listopadowych Champs-Elysées w Paryżu zegar wybija pierwszą popołudniu.

Na ten czas pustoszają wielkie bulwary na długości trzech czwartych i jedyny przechodzień jest już widoczny z daleka, i występuje jako ślepy tors na tle niezdecydowanego błękitu.

Kobieta o stalowo-czarnych oczach i stalowych brwiach, która idzie teraz bulwarem, jest jak dysnans w mdłym pejzażu ulicznym.

Pasowałaby raczej do zdecydowanego i samotnego grudniowego dnia. Miasto także musiałoby być inne: gdzie każdy zna się ze wszystkimi innymi i ludzie nie mają sobie więcej nic do powiedzenia.

Do błękitnego bulwaru Champs-Elysées pasuje inny ton, inne brwi i oczy.

Gdyby ich nie było – trzeba by je było sztucznie spreparować. Jednak są.

Zawdzięcza się je wielkim magazynom i salonom mody, które przynoszą błękitnym ulicom listopadowym te cudowne kobiece egzemplarze, których nie

można nazwać inaczej niż „powabne”, z tonem łamiwym, podobnym porcelanowej cerze róż herbacianych.

Przy tym nie przestaje to być rzeczą przykrą i cudowną zarazem, gdy te kobiety, które przekazują „życie” – gromadzone w magazynach jako materiały, ubrania, aromaty – gdy one same mają włosy źle ułożone, gdy ich makijaż jest niedbały, i gdy noszą się w materiałach bez wyrazu, materiałach bez akcentów, i pragną kochać słodko i sentymentalnie i tego jednego jedyngo na całym świecie.

Kobieta o stalowo czarnych oczach mówi:

„...W każdej miłości zdarza się kiedyś, że drzewa są jakby już pozbawione zieleni, a wieczory zrzuciły naraz swą aksamitną szarość i życie jest jakby już więcej nie ważne...”

Szkoda straconego czasu...”

Wtedy odpowiada jej towarzysz. Ubrany – jak zwykle – w zielone palto i sztywny melonik, odpowiada w manierze romansu staromodnego:

„...Kto wynagrodzi nam czas miłości przegranej...”

Bulwar znów wypełniają kobiety z tonem delikatnych róż herbacianych; mężczyźni w sztywnych paltach i kapeluszach.

Jest druga popołudniu i magazyny oraz salony piękności niebieskiego miasta Paryża zaczynają znów sprzedawać życie: kawałek życia za złoto; kawałek życia staje się potrzebny, gdy tylko pojawia się czerwone złoto.

Na Champs-Élysées i wszystkich bulwarach świata poruszają się szybko ludzie, którzy służą kolorowemu życiu.

Pod koniec marca przychodzi niezauważona i zupełnie jakby czekała już od dawna – wiosna.

Przychodzi z całym bagażem zieleni, która jest lekka jak westchnienie i zasłania, całkiem nieoczekiwane, błękit południa, zupełnie już niepotrzebny; przychodzi z nieodłącznym oczekiwaniem życia.

Przez wszystkie ulice świata maszerują w tym samym czasie szare uniformy. Dwojakiemu gatunku:

Te z pierwszego planu – mają reprezentować najwyższą pewność i ważność życia: należą do ludzi, którzy otrzymali w przydziale jedną rolę: demonstrować trwałe porządek świata, w którym pewność kupuje się za pożądany czerwony metal i błady metal srebra, w którym złoto rozdziela losy rzeczy.

W tle, w jeszcze niepewnym tle, który zasłaniają teraz drobne krople liści i pewność pierwszoplanowych uniformów, rysują się, jakby czekając na swoją kolej, całkiem inne figury:

Ubrane w mundury szare jak życie i jak blacha – krzywią się pod skrywaną tęsknotą. „Pragnienie

surowców, które chcą mieć swój udział w historii".
Ciężkie od czekania i jasnej szarości.

Jest koniec marca i upalna wiosna.

Świat szykuje się do wojny.

A na dworcach oczekują na siebie ministrowie spraw zagranicznych obu stron. Tylko nie w przepiśwanych, oficjalnych cylindrach; ale w całkiem zwyczajnych, czarnych, eliptycznych sztywnych kapeluszach, zwanych – z powodu ich podobieństwa do brzuchatego i eliptycznego owocu melona – „melonikami”.

I ten pozornie drugorzędny fakt podkreślają i akcentują wszystkie agencje telegraficzne, wszyscy reporterzy i korespondenci.

„Taki melonik – piszą gazety – wnosi serdeczny i nieoficjalny ton do powitania”. I tak właśnie jest dobrze, bowiem panowie w kapeluszach nie ustają w zapewnieniach, że po tych wizytach nie należy się niczego spodziewać, że powinny mieć charakter nieoficjalny, czysto informacyjny...

Była to zatem ważna i w żadnym razie nie przypadkowa okoliczność – te zwyczajne kapelusze zamiast oficjalnych cylindrów.

W stronę Afryki odchodziły w tym właśnie czasie z Neapolu statki pancerne, załadowane żołnierzami, czołgami i amunicją:

Mussolini nie chciał przegapić tych sześciu miesięcy pory suchej, które miały się właśnie teraz, zaraz zacząć w Afryce, zaraz, w miesiącu październiku.

Było mało czasu i szło o to, by wykorzystać tę przerwę aż do świeżych dni deszczowych, jeśli się chciało odnotować już wkrótce polityczne osiągnięcia dla Włoch.

Amunicja zostaje przeliczona na życie.

A Europa zatrzymuje się jak niezadowolony, skrzywiony wewnątrz szwówek w tych straconych momentach, kiedy wszystko okazuje się nieudane i mogłoby być inaczej.

W takich chwilach opada nas pasja przeliczania życia na możliwości innego gatunku. I jakby to nie szkodziło, że przy rachunku takim wypada smutek, który towarzyszy rzeczom przypadłym.

I ta pasja nienormalna i męcząca ogarnia teraz całą Europę:

Trzeciego kwietnia 1935 roku przynoszą dzienniki zestawienie liczbowe, przeprowadzone przez „Instytut Koniunktury Gospodarczej”. „Zestawienie, warte opisanie” – głosi nagłówek pewnej krótkiej notatki.

Z niej wynika, że wywóz towarów wojennych w ostatnim roku się zwiększył, wzrósł z sumy 224 milionów złotych w roku 1933 do 251 milionów w roku 1934. W ten sposób wywóz ten powiększył

się o dwadzieścia procent, podczas gdy ogólny światowy handel spadł o cztery procent.

Dalej idzie następna kolumna cyfr i ona także ma swój własny język. Z niej znowu wynika, że w roku 1935 Europa będzie potrzebować dwukrotnie większych nakładów na amunicję w porównaniu z wielkim rokiem wojny 1913.

Wtedy dochodzi do głosu wyżej wspomniana, chorobliwa pasja przeliczania. Oznacza to, że suma 30 milionów złotych, o którą powinien wzrosnąć przemysł wojenny w roku 1935 – jest znacznie większa niż suma rocznego przywozu do Europy, przywozu surowców, półfabrykatów i wyrobów gotowych, które mogą подарować samo życie.

Tyle jeśli chodzi o wiadomości z gazet.

Komentarz życia do tego: na widok wielkich obozów broni i magazynów amunicji opada nas ten sam pośny i pozbawiony wyrazu nastrój, co na widok wielkich, kuchennych podłóg szorowanych ługiem o ostrym aromacie.

Brokatowe gorsety i włosy ondulowane

Każdemu życiu potrzeba fantazji, potrzeba marzeń, w tej samej mierze banalnych, co życiowo poważnych. Taka życiowa fantazja może przybrać całkiem nieoczekiwaną postać. Może się nazywać na przykład: gorset. Gorset z brokatu koloru apykozy.

Właśnie przychodzi wiosna, taka całkiem banalna, jak każdego roku: kasztany zakwitają tłustymi, różowymi pąkami, asfalty pachną mdło akacjami, a ludzie chcą znowu „żyć”.

W salonie piękności, ulica Karmelicka, numer siedemnasty, żółta elektryczność przynosi, punkt dwunasta, lepki czas południa, a ton fryzjerek staje się wodnisty jak czekanie.

W małych siateczkach zebrane, związane różowymi wstążeczkami – salon piękności prezentuje modele fryzur, wystawione w znanym miejscu w każdej kabinie.

Utrzymane są te modele fryzur w jednym z trzech podstawowych kolorów: blond, brązowym i czarnym, który ma w sobie blask niebieskich, głębokich nocy.

Blond jest kwiecisty i delikatny. Trudno uwierzyć, jak z ciastowatego ciała może wyskoczyć taka fala czystego materiału. Blond jest kolorem delikatnego przyrzeczenia: takie włosy wzbudzają zaufanie do życia, wiążą się z oczekiwaniem.

Kolor brunetek to kolor kontemplacji. Włosy brunetek są ciężkie jak z rozczarowań i doświadczeń, twardych i słodkich.

Czarny ma połysk nocnego błękitu: czarny jest twardy i zamknięty już na wszystko, jak samo życie i jak los. I tylko błysk niebieskiego przydaje mu kroplę miękkości i delikatnej czułości. (Niebieski jest duszą wspomnień, które zawsze czynią bardziej znośnym wyrzeczenie).

W salonie piękności prezentują te trzy kolory – trzy możliwości życia.

Duszna atmosfera, gęsta od perfum do włosów, zapachu szamponu „Elida” i szamponu marki „Brunetaflor”, ciężka od nieustających przygotowania do życia: kobiety o wąskich taliach mijają salon między jednym szczęściem a drugim.

I jednodniowy zgiełk, zapach szamponu i szczęścia, wywołują późnonocny nastrój i naraz zdarza się ta sprawa gorsetem brokatowym: staje się wielką życiową fantazją panny fryzjerskiej tej zwyczajnej wiosny z kwitnącymi kasztanami i akacjami.

...Pani o włosach miedziano-blond na pewno nie ma „na co wstawać” każdego ranka. I lepkim ciastem nudy obejmuje nadchodzący dzień.

A mała fryzjerczka z ulicy Karmelickiej wie zupełnie dokładnie i z nieśmiertelną pewnością, czego jej potrzeba, żeby „posiąść życie”. A między jedną ondulacją a drugą powstaje rozdział banalnej filozofii,

a z takich pojedynczych rozdziałów składa się wielki i ważki traktat o życiu.

Czy ondulacje można w ogóle uznać za pozycję w życiu? Ondulacje we wszystkich niuansach trzech podstawowych kolorów?

Zwykle prowadzą takie pytania zbyt daleko; jest tylko jedna odpowiedź: nie chceć żyć. Dlatego unika się takich pytań.

...Ondulacja: czy nie ma swojego udziału w wypracowaniu tego szczerzego znaczenia życia, które pojawia się, gdy spotykają się ludzie, zawsze sztywni, zawsze zagubieni w życiu?

W salonie piękności pachnie oczekiwaniem. Czym jest życie...

...Świat produkuje: naftę i metale, szkło i sukno

...I wszystko ma historię,

Sukno, na przykład, daje ciepło, kawałek szczęścia. Ale służy także za rzecz bezsensowną: żeby „się podobać”.

...Gdy podobają się sobie szczuple damy i sztywni panowie – dotykają szczerzego znaczenia życia.

...Rozrzuczone po oświetlonych witrynach – przypomina kolorowe sukno życie, które zawsze jesteśmy gotowi odrzucić takimi słowami: „nie oplaca się”.

...Pani doktor, proszę do ondulacji... miedziany blond? Jak zawsze...”

...Brokatowy gorset, koloru apykozy... w różnych sklepach kobiety mierzą gorsety z brokatu i delikatnego atlasu.

I świat wypełnia się rzeczami gotowymi i zamkniętymi, które otrzymują komiczne i zwyczajne nazwy „butów”, „sukien”, „ksiąg handlowych” i „maszyn”.

One utrzymują świat w słodkim i bezsensownym napięciu. Świat ludzi między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia.

Parada wojskowa

Jeden z ostatnich dni lutego 1937 roku, dzieje się to na pozbawionej wyrazu ulicy Łyczakowskiej, właśnie w tym momencie, kiedy przechodzi ona w okrągły plac Bernardyński i kończy swój bieg.

Jeden z pierwszych dni wiosny. Kobiety pokazują się już w ubraniach jasnych i lekkich jak porcelana; pierwsze i jeszcze elastyczne smutki ciągną się po cieple, choć drzewa są jeszcze suche i czarne; wspomnienia mieszają się ze strachem przed życiem przegrany; i wszystko staje się samo przez się zrozumiałe.

Z jasnego i delikatnego błękitu, z samego serca pierwszej wiosennej błękitności – ciągną żołnierze i czołgi. Samo przez się zrozumiałe, jak wszystko, co się wydarza tego dnia.

Nadchodzą czołgi-domy płaskie jak łąki. Skóra hełmów i płaszczy jest niby żelazo, tak gładka i błyszcząca, tak wolna od wszystkich kapryśnych fałd. Tacy są na pewno też ludzie ubrani w skórzane płaszcze i helmy: bez najmniejszej fałdy kaprysu.

A przez szare asfalty i zakurzone kwadraty-plastry czuje się, jak delikatnie powolne trawy i błyszczące różowe robaczki zostają rozgniecione i zmieszane z brudnym kurzem.

Ale naraz nad asfaltem robi się dziurawa i smutna i jakby niepotrzebna niebieska atmosfera. Tak dziurawa i smutna zarazem jak cienki, bezradny uśmiech pana w jasnym palcie, obmyślony dla damy w elastycznym błękiecie, która mówi o pierwszych, rozwiązłych smutkach.

....Armia jest naszą dumą

Armia jest esencją życia narodu.

Dlatego wszyscy obywatele miłują armię

Armię otacza szacunek wszystkich obywateli."

(Tak brzmi fragment rządowego manifestu, wykrzyczany trzykrotnie w ciągu tych dni przez wszystkie megafony. I jeszcze raz wykrzyczany drugiego dnia i trzykrotnie przedrukowany we wszystkich gazetach i na pięciu milionach plakatów rozwieszony po kraju, który może się nazywać Polską lub też inaczej).

Tego samego dnia wieczorem pada deszcz. Wszystko splywa wraz z szarością deszczu. Wtedy zjawia się jaskrawy i zuchwale biało-czerwony plakat z rozśmianą twarzą żołnierza i czerwonym napisem: „Przeгляд Wojskowy” w kinie „Pan”.

Na ekranie tańczy mechaniczny balet, balet szarości, w białej w postaci i płaszczyzny. Jest to szarość bez jednej nawet kropli zmierzchu: bez kropli delikatności albo melancholii. Nieskończona i martwa jak zimne Morze Północne w jesiennej mgle.

Z ekranu nadchodzi wysoki, tragiczny patos granatowych gór, odcinających się na pomalowanym

na lila papierze nieba. I patos nocy z głębokimi niebami.

....Mężczyźni są na to, by umrzeć pod czołgiem...

...Kobiety są na to, by dawać życie..."

Miękka jak aksamit i chłodna jak zapach kwiatów jest delikatna skóra dziecięcych policzków. Po twarzych i smutno sztywnych liniach pnie się życie mężczyzn. Gotowe być zmiażdżone przez żelazne zęby czołgów. A obok czołgów przechodzą ślepe kobiety, które niosą w sobie sztywnych i smutnych mężczyzn. Wszystko jest jak od zawsze.

W pokoju, późną nocą, leży otwarta gazeta z czerwonym napisem w nagłówku: „Europa w ogniu”. Banalne zdanie:

....Cyna drożeje, olów drożeje... cynk można zastąpić tworzywem sztucznym..."

Wiosenny dzień, jeden z pierwszych, odchodzi. Delikatny i elastyczny, pełen przeczuć i oczekiwań.

Czeka się na rzeczy banalne: świeżą zieleń, która zalewa trotuary naraz i niespodzianie. Czeka się na szare, ocieplone światłem asfalty porcelanowe, którymi zapalają się latarnie, płonące później miodnym, zatopionym w sobie światłem (światłem z obrazów Claude'a Lorrain'a).

Drzewa i ciała szykują się „do życia”. Jakby nic więcej nie było ważne, jak ta dziwna rzecz, która nazywa się: życie.

Bruno Schulz

Akacje kwitną

O powieści mówi się często, że autor zamknął w niej „całe życie”, „płat życia”, cały „los ludzki od urodzenia aż do śmierci”. W istocie zawiera ona kilka lub kilkanaście epizodów egzemplarycznych, pewną ilość skrótów realistycznych połączonych ze sobą liniami tzw. sensu, idei, poity, albo tylko tak dobranych i ugrupowanych, że zamykają się one w jakąś figurę myślową. Rozumie się, że do takiej „figury” dojść można jedynie dzięki pewnemu ograniczeniu materiału życiowego, że znajduje się ją presumptywnie na podstawie dowolnie wybranych elementów życia i już dlatego nie można mówić o „całym życiu”. U jednych pisarzy destyluje się ten wyższy sens niejako sam przez się z realistycznego mięszu, w innych powieściach wdaje się sam autor w ten proces, dopomaga przy pomocy różnego rodzaju akuszerii – rezonerstwa. W obu wypadkach to wydzielanie się „figury myślowej” z treści narracji jest jednym z najwyższych uroków powieści. W tradycyjnej powieści zachowana jest zawsze odrębność dwoistej logiki, autonomicznej logiki materiału realistycznego oraz logiki głębszego sensu, nadbudowy autorskiej i na nieznacznych przejściach od jednej do drugiej, na ich współbrzmieniu i przeplataniu się i rozchodzeniu polega

właściwa gra myślowa stanowiąca urok tego gatunku utworów.

Swoistą oryginalnością książki Debory Vogel i tym, co dezorientuje czytelnika, usuwa mu niejako grunt spod nóg – jest całkowite zerwanie z tą umowną formą, z tą zasadą tradycyjnej powieści. Autorka nie ma zmysłu ani szacunku dla jednostkowych zdarzeń, dla indywidualnych losów człowieczych i charakterów, nie potrzebuje materiału realistycznego dla egzemplifikacji sensu, który w życiu odkryła. Nie przeżywa ona owych stanów w formie bezpośrednio osobistych przeżyć w całej ich indywidualnej konkretności, lecz dopuszcza je do głosu dopiero wtedy, gdy przejdą przez tysiąc serc, gdy staną się odbarwione, nieosobiste i egzemplaryczne, gdy dochodzą do pewnego rodzaju liczmanu obiegowego, do formuły anonimowej, wyświechtanej i banalnej. Autorka uznaje je i przyjmuje dopiero na tym poziomie, na którym stają się one własnością każdego: przechodnia z ulicy, panny z magazynu i chłopca z baru. To jest jak gdyby sprawdzianem ich realności, gdy dają się podłożyć jako tekst pod muzykę piosenki ulicznej.

Nie ma w tej książce bohatera indywidualnego, jest anonimowy tłum lalek manekinów z wystaw fryzjerskich, passatów w sztywnych melonikach, manikiurzystek i kelnerów, zagubionych, zaplątanych w mechanizm miasta w „chodzenie ulicami”, figur bez twarzy i bez indywidualności.

Ten aspekt człowieka zdegradowanego do pionka, do figurki mechanicznej, do gałki z melonikiem, dzieli autorka z konstruktywistyczną wizją świata narzuconą przez nowoczesną sztukę plastyczną. Jest to, jak się zdaje, ostatnia konsekwencja urbanizmu, jakaś transpozycja statystyki, prawa wielkich liczb, nowoczesnej atomistyki – na życie, na biologię wielkich skupisk ludzkich.

Jest w tej degradacji, w tej rezygnacji z indywidualności, jakiś spinozystyczny patos, jakaś monumentalna, melanchoijna zgoda na mechanizm, jakieś zjednoczenie z determinizmem, które go prawie przewyżcza. W tym świecie ludzkich atomów, krążących według praw przedustawnych, nie ma miejsca na losy indywidualne, istnieją tylko losy typowe, ruchy od wieków prestabilizowane, fazy cykliczne i powracające. Dookoła tych manekinów zagubionych na pustyni ulic wstaje patetyczny świat geometrii, mas i ciężarów: „Płachty białe, pełnej przestrzeni przychodzą w tej powieści i traktowane są jak zdarzenia; mury występują w tej powieści: gęste jak tęsknota i jak upał. Mury: bielsze jeszcze niż w rzeczywistości, w dni ulepione z szarego nieba i czekania...”. Jesteśmy jakby w surrealistycznym krajobrazie ograniczonym płaskimi domami bez okien, figurami reklam i szyldów, pod niebem tekturowym i lakierowanym, w świetle późnym i przesądzonym. Ten świat kolorów, materiałów, tandetnych etykiet i szyldów, metali i mas geometrycznych, posłuszny biegowi jakiegoś własnego kalendarza, jest ruchomą sceną życia, wyraża w transformacjach swych faz kolejnych sens tego życia, fluktuacje i nawroty wiecznej sprawy serc ludzkich. Na rachunek tych manekinów bez twarzy, krążących w tekturowym kosmosie tej książki, autorka rekapitułuje banalne dzieje serca kobiecego, rekapitułuje je w cudzysłowie, jak rzeczy powszechne i dobrze znane, jak refreny ulicznych szlagierów: jakieś historie „serc złamanych na zawsze”, „spraw ze szczęściem przegranym, o których chciałoby się zapomnieć do ostatka, z których wspomnieniem żyć nie można”, „losy przegrane” i „miłości nieudane”, „czekanie na życie, kiedy wszystko zacząć się może” i zrezygnowana zgoda na „to właśnie, co przychodzi”. Nad wszystkim leży tragiczna monotonia świata w gruncie rzeczy gotowego i nieruchomego.

Do takiej bezosobistej anonimowej formy doszły doznania autorki, przedestylowane na melodię komunału, na frazes smutny i banalny. Autorka lubi ton i słodycz banału, jak zwiędły i mdły posmak ostatniej dojrzałości.

Jest to książka nie do zapoznania i na wskroś kobieca, kobieca w gatunku doznań i w materii psychicznej i kobieca w swym wegetatywnym rytmie, w elestrajekcji kosmicznej pulsów, periodów, fluktuacji istoty związanej z rytmem wszechrzeczy.

Niektórzy czytelnicy, a nawet recenzenci, dopatrywali się w tej książce pewnych analogii do *Sklepow* *cynamonowych*. Spostrzeżenie to nie świadczy o głębokim wniknięciu. W istocie książka ta wynika z całkiem innych i oryginalnych podstaw światopoglądowych.

Własny światopogląd, nie wyrozumowany, ale urodzony, pierwiastkowy, w każdym doznaniu już zawarty, jest zdaniem St. I. Witkiewicza posagiem, który przynosi ze sobą na świat prawdziwy poeta. Tak organiczny światopogląd przenika i buduje tę książkę. Można powiedzieć, że jest ona szkolnym przykładem poetyckiego światopoglądu zrealizowanego przy pomocy minimum materiału zewnętrzznego. Autorka nie ma talentu realistycznego, zdobycie materiału dla egzemplifikacji swych tez stawia ją przed nieprzewyżczone niemal trudności, ale właśnie ta trudność, ten opór, ta szlachetna abstynencja i niezdolność asymilacji treści z zewnątrz gwarantuje czystość jej wizji. Wydaje się, jakby autorka niewiele posiadała tych cech drugorzędnych: sprytu, chytrych, zdolności aranżowania, które cechują łatwe i płytkie talenty, może być, że zdobywa ona czytelnika nie na linii generalnego ataku, ale na drodze ubocznej, mimochodem, jako rezultat mimowolny i niezamierzony. Może niecałkiem nas przekonuje, gdy pod proces kosmiczny, pod mechanikę owego świata pod-

klada jako tekst sentymentalne swe formuły serca kobiecego, może w tej abstrakcyjnej i anonimowej formie dynamika jej uczucia niezdoła jest nas do głębi wzruszyć, ale dookola tej może nieosiągniętej mety zgromadziła tyle nowej i niespodzianej treści, tyle mimowolnych rewelacji swej do niczego niepodobnej wizji – że drogą okrężną jednak wygrała swą sprawę.

Akacje kwitną są niezmiernie ciekawym, oryginalnym i nowym dokonaniem właśnie dlatego, iż dla autorki nie były one eksperymentem, lecz koniecznością narzuconą jej przez całą organizację twórczą. Nowość tej książki leży nie w pewnym szczególe, w nowej odmianie starych sposobów, ale w samej substancji tej prozy, w samym gatunku narracji. Można by powiedzieć, że tradycyjna proza powieściowa opiera się na zasadniczym poglądzie, że świat się dzieje, staje, płynie, dąży do jakiegoś rezultatu. Proza Debory Vogel jest adekwatem świata na zawsze gotowego, nieruchomego, zmechanizowanego.

Tekst książki dopełniają kongenialne i bardzo piękne ilustracje surrealistyczne Henryka Strenga, którego bogata i oryginalna twórczość malarska mało jest jeszcze znana.

„Nasza Opinia”, nr 72 (199), 1936

Nota edytorska

Znakomita i nowoczesna, proza Debory Vogel nie doczekała się – do teraz – powtórnej edycji książkowej. Fragmenty *Akacji*, a konkretnie środkowy cykl pt. «Akacje kwitną», podał do druku Antoni Czyż („Ogród”, nr 2/4, 1990), zaś pięć ocalałych listów do Bruno Schulza – Jerzy Ficowski (Bruno Schulz, *Księga listów*, Gdańsk 2002, s. 241-250). W „Ogrodzie” opublikowano także kilka esejów Vogel: *Genealogia fotomontażu i jego możliwości* oraz *Legenda współczesności* (nr 1/9, 1992), *Pozycja St. J. Witkiewicza we współczesnej kulturze polskiej* (nr 1/17, 1994, podał do druku Janusz Degler), *Temat i forma w sztuce Chagalla* (nr 1-2/21-22, 2003, przekład z jidysz Tomasza Kuberczyka; w tym samym numerze ukazało się wspomnienie Racheli Auerbach, pt. *Rozzerwane nici*, także w tłumaczeniu T. Kuberczyka). Z kolei w „Dekadzie Literackiej” (nr 31, 1991) – fragmenty artykułu *Lwowska Juderia (Ekspozycja do monografii żydowskiego Lwowa)*.

Czytelnik zainteresowany pozostałą częścią literackiej spuścizny lwowskiej pisarki zmuszony był poszukiwać jednego z niewielu ocalałych egzemplarzy przedwojennego wydania (Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1936). To jednak nie wszystko. Jako że Debora Vogel pisała przede wszystkim w języku żydowskim, jej późniejsze utwory, których nie przetłumaczyła na język polski, pozostawały znane jedynie specjalistom.

Z tego też powodu niniejszy tom ma w pewnym sensie charakter pionierski. Edycję *Akacji* opracowano w oparciu o tamto przedwojenne wydanie. Z niego zaczerpnięto również 15 ilustracji Henryka Strenga i rozmieszczono tak, jak w oryginale. Szesnasta ilustracja Strenga, reprodukowana

